WIADOMOŚCI CELNE ©
Nr 5/6/2014
MINISTERSTWO FINANSÓW – SŁUŻBA CELNA • WARSZAWA 2014 • ISSN 1230-9087



SPORT i TURYSTYKA

WIADOMOŚCI
CELNE

REDAKCJA
Redaktor naczelny: Witold Lisicki
Sekretarz redakcji: Beata Zuba
Marcin Woźniczko

PROJEKT GRAFICZNY
Aleksandra Laska

Wykonawca:
Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi,
Laski, ul. Brzozowa 75, 05-080 Izabelin

WYDAWCA
Ministerstwo Finansów – Służba Celna
Warszawa, ul. Świętokrzyska 12
www.clo.gov.pl
beata.zuba@mofnet.gov.pl
marcin.wozniczko@mofnet.gov.pl
tel.: (22) 694 46 30
tel./fax: (22) 694 35 02
nakład: 1800 egz.

Drodzy Czytelnicy!

To wydanie „Wiadomości Celnych" poświęcone jest sportowi i turystyce. Przedstawiamy sukcesy celników-sportowców, publikujemy teksty o zwycięzcach i pokonanych. Przecież nie zawsze się wygrywa, o czym wiedzą wszyscy sportowcy. Nie każdy jest sportowcem, ale każdy może być turystą. W swoich wspomnieniach i reportażach nasze koleżanki i koledzy przedstawiają swoje propozycje na ciekawe spędzenie urlopu lub weekendu. Niestety, ze względu na objętość naszego periodyku, nie mogliśmy zamieścić wszystkich zdjęć przesłanych do redakcji, ale te, które publikujemy, na pewno zachęcą do wyjazdu i zwiedzania.

redakcja

Sportowcy roku

Podczas narady kadry kierowniczej Służby Celnej w Otwocku w dniu 18 grudnia 2013 roku zostały podsumowane osiągnięcia sportowe roku 2013 Służby Celnej. Oprócz wyróżnień dla poszczególnych izb celnych przyznane zostały także wyróżnienia funkcjonariuszom, którzy według kapituły osiągnęli najlepsze wyniki sportowe w 2013 roku.

Wśród kobiet zwyciężyła Sylwia Kubacka z Izby Celnej w Katowicach. Wśród mężczyzn wygrał Michał Radziszewski – funkcjonariusz podlaskiej Służby Celnej. Zarówno Sylwia Kubacka jak i Michał Radziszewski reprezentują swoje izby w pływaniu.

Sylwia Kubacka aż trzykrotnie w czasie mistrzostw stanęła na najwyższym stopniu podium: zdobyła 2 złote medale na dystansie 50 m stylem klasycznym oraz dowolnym, a także była jednym z ogniw sztafety, która zdobyła złoto na dystansie 4 x 50 m stylem dowolnym. Srebrny medal Sylwia Kubacka wywalczyła na dystansie 100 m stylem zmiennym.

Michał Radziszewski podczas Mistrzostw Polski VSC w pływaniu, które odbyły się w marcu 2013 na pływalni w Józefowie zdobył 4 medale w każdej konkurencji, w której startował. Od 2009 roku, kiedy rozegrano II edycję mistrzostw, a Michał startował po raz pierwszy, jest niepokonany na dystansie 50 m stylem motylkowym oraz na dystansie 400 m stylem dowolnym.



Gratulacje najlepszym sportowcom składa Szef Służby Celnej nadinsp. Jacek Kapica

Z każdych mistrzostw VSC w pływaniu przywoził po 4 medale – w sumie aż 20 (w tym 18 złotych i 2 srebrne).

st. rachm. Maciej Czarnecki
rzecznik prasowy
Izby Celnej w Białymstoku

Złoto dla Przemyśla w narciarstwie alpejskim

Przemyska drużyna celników zajęła pierwsze miejsce i tym samym zdobyła złoty medal na III Mistrzostwach Polski Służb Celnych w Narciarstwie Alpejskim. Przemyślanie byli nie do pokonania i dzięki temu obronili zwycięski tytuł z ubiegłego roku.

1 lutego 2014r. odbyły się już po raz trzeci Mistrzostwa Polski Służby Celnej w Narciarstwie Alpejskim. Zawody zostały rozegrane na stacji narciarskiej „Master Ski" w Tyliczu. Na zawodach spotkali się miłośnicy białego szaleństwa z izb celnych i Ministerstwa Finansów.

Zawody rozegrano w następujących kategoriach:

- Kobiet 50+ – udział wzięło 9 zawodniczek (Elżbieta Sawicka IC Przemyśl – II miejsce)



Zwycięskie podium

SPORT I TURYSTYKA

- Kobiet do 50 lat – udział wzięło 13 zawodniczek (Sylwia Okoniewska IC Przemyśl – I miejsce)
- Mężczyzn 50+ – udział wzięło 17 zawodników (Andrzej Karpiński IC Przemyśl – I miejsce)
- Mężczyzn do 50 lat – udział wzięło 17 zawodników (Grzegorz Michalski IC Przemyśl – V miejsce)
- Drużynowej – sklasyfikowano 16 drużyn (**IC Przemyśl – I miejsce**).

Walka o medale stała na bardzo wysokim poziomie i towarzyszyły jej ogromne emocje. Na stoku nie zabrakło jednak świetnej zabawy i dobry humor nie opuszczał uczestników.

Na zakończenie turnieju nastąpiła uroczysta dekoracja, podczas której zwycięskie puchary i pamiątkowe dyplomy wręczał uczestnikom dyrektor Izby Celnej w Krakowie insp. Andrzej Nowak.

Gratulujemy wszystkim uczestnikom tak świetnej formy i życzymy kolejnych sukcesów!

rachm. Agnieszka Stasiak
Izba Celna w Przemyślu

Obronili mistrzostwo i zagrali w reprezentacji

W XIV Międzynarodowych Mistrzostwach Polski Służby Celnej w tenisie stołowym, które w połowie maja br. rozegrano w hali sportowej CEZRF w Otwocku, reprezentacja Izby Celnej w Białej Podlaskiej zajęła pierwsze miejsce w klasyfikacji generalnej izb celnych. Tym samym obroniła mistrzowski tytuł sprzed roku.



Polska I (w środku)

Bialską izbę celną w tegorocznych mistrzostwach reprezentowali: **Magdalena Rozwadowska**, **Kinga Ryń**, **Jarosław Kowalski** (wszyscy z Urzędu Celnego w Białej Podlaskiej), **Leszek Gawidziel** (Urząd Celny w Lublinie), **Daniel Godzisz** (Urząd Celny w Zamościu) i **Wojciech Skrzynecki** (Izba Celna w Białej Podlaskiej).

Na wynik drużyny składały się tradycyjnie wyniki zawodników w poszczególnych konkurencjach, tj. turniej kobiet, turniej mężczyzn, debel mężczyzn, mikst oraz męski turniej w kat. "50+".

W męskim turnieju indywidualnym **Leszek Gawidziel** uległ tylko zawodnikowi z Węgier – co oznacza, że był najlepszym polskim zawodnikiem w singlu, a **Daniel Godzisz** wśród polskich zawodników sklasyfikowany został na miejscu trzecim. Indywidualnie nasi zawodnicy powtórzyli ubiegłoroczne osiągnięcia. W grze deblowej nasza para (Gawidziel/Godzisz) zajęła trzecie miejsce wśród par z Polski. W grze mieszanej D. Godzisz (z Aleksandrą Rzeszutek z Izby Celnej w Gdyni), ulegając tylko mikstowi z Węgier, zajęli drugie miejsce (pierwsze w klasyfikacji mikstów polskich, gdzie L. Gawidziel z Kingą Ryń zajęli miejsce 4.). Wśród kobiet Magda Rozwadowska była czwarta, a K. Ryń szósta. Zapunktował jeszcze Wojciech Skrzynecki, zajmując czwarte miejsce w kat. wiekowej 50+.



Leszek Gawidziel w finale

W zawodach wystartowało łącznie 84 zawodników i zawodniczek, a swoje drużyny wystawiło 13 izb celnych, Ministerstwo Finansów oraz celnicze reprezentacje Węgier, Wlk. Brytanii, Włoch i Turcji, Belgii i Holandii.

Podkreślić trzeba, że Służba Celna RP do rozgrywek w formule międzynarodowej wystawiła dwie 3-osobowe reprezentacje. Po raz pierwszy w kilkunastoletniej historii mistrzostw do polskiej reprezentacji powołani zostali zawodnicy Izby Celnej w Białej Podlaskiej. Zaszczytu gry w reprezentacji dostąpili **Leszek Gawidziel** i **Daniel Godzisz**, którzy ze wspomnianą wyżej **Aleksandrą Rzeszutek** (z IC Gdynia) występowali jako Polska I. W klasyfikacji zespołowej reprezentacji narodowych Polska I sklasyfikowana została na 2. miejscu, ustępując Węgrom – przy jednakowej liczbie zgromadzonych punktów. Miejsce trzecie zajęła Polska II.

nadkom. Dariusz Duchnowski
Izba Celna w Białej Podlaskiej

10 lat i 10 medali

Tegoroczne XIV Międzynarodowe Mistrzostwa Polski Funkcjonariuszy Służby Celnej w Tenisie Stołowym przyniosły Izbie Celnej w Katowicach dziesiąty z rzędu medal w klasyfikacji generalnej izb celnych.

Reprezentanci IC Katowice podobnie jak przed rokiem wywalczyli brązowy medal, ustępując jedynie reprezentacjom izb celnych w Białej Podlaskiej i w Przemyślu. Tym samym dorobek tenisistów stołowych w ostatnich dziesięciu latach to dwa tytuły Mistrzów Polski, czterokrotne wicemistrzostwo kraju oraz cztery medale brązowe. Warto podkreślić, że podobną serią mogą się poszczycić jedynie reprezentanci Izby Celnej w Przemyślu.

Zdobycie jubileuszowego miejsca na podium jest dobrą okazją do podsumowania bogatego dorobku sportowego tenisistów stołowych w ostatniej dekadzie.

Zaczęliśmy od srebrnego medalu drużynie w 2005 roku, kiedy to po raz pierwszy w naszym kraju rozegrane zostały Mistrzostwa Polski z udziałem reprezentacji zagranicznych służb celnych. Naszymi rywalami oprócz reprezentantów wszystkich izb celnych i Ministerstwa Finansów byli wówczas Węgrzy, Słowacy, Litwini, Holendrzy i Brytyjczycy. Mimo tak mocnej obsady, do drużynowego wicemistrzostwa Polski dołożyliśmy jeszcze złoto w grze mieszanej i srebro w grze podwójnej.

W kolejnych dwóch sezonach, w klasyfikacji krajowej musieliśmy uznawać wyższość naszych największych rywali z Izby Celnej w Przemyślu. Ale w czwartym roku naszych zmagań, kiedy po trzech latach przerwy, przed turniejem międzynarodowym rozegrane zostały jednodniowe Mistrzostwa Polski wyłącznie w obsadzie krajowej, udało nam się wreszcie zrewanżować naszym kolegom z Przemyśla. Dzięki doskonałej postawie w turnieju gry pojedynczej, w którym aż trzech naszych zawodników znalazło się w najlepszej czwórce, zdobyliśmy pierwszy złoty medal dla Izby Celnej w Katowicach. Łącznie przywieźliśmy z tego turnieju aż sześć medali. Podobny sukces udało się powtórzyć w roku 2010, kiedy po rocznej przerwie odzyskaliśmy tytuł Mistrzów Polski „chwilowo" oddany zawodnikom z Podkarpacia.

Kolejne lata przyniosły istotne zmiany zarówno w rywalizacji izb celnych jak i w zmaganiach międzynarodowych. Do ścisłej czołówki dołączyła reprezentacja Izby Celnej w Białej Podlaskiej, z roku na rok osiągając coraz większe sukcesy i niestety spychając naszą drużynę na miejsce, za które przyznawany jest jedynie brązowy medal. Trzeba jednak stwierdzić, że w porównaniu z kolegami z Przemyśla i Białej Podlaskiej jesteśmy drużyną najbardziej zaawansowaną wiekowo, co w tenisie stołowym niestety nie ułatwia rywalizacji. Pocieszamy się jednak, że niebawem zdominujemy turniej 50+.



Reprezentanci Izby Celnej w Katowicach z kolegami ze Słowacji

Spośród ekip zagranicznych największymi sukcesami mogą pochwalić się Węgrzy, w szeregach, których występuje niepokonany od 10 lat Zsoltan Gelleri, zawodnik z ekstraklasową przeszłością. Sporo sukcesów osiągali również, niestety nieobecni już od kilku lat Słowacy, a także Austriacy, Brytyjczycy i Holendrzy. Łącznie, we wszystkich dotychczasowych turniejach wystąpili reprezentanci aż 13 państw tj. Austrii, Belgii, Czech, Finlandii, Holandii, Litwy, Norwegii, Polski, Słowacji, Turcji, Węgier, Wielkiej Brytanii oraz Włoch.

Nie sposób pominąć bardzo wysokiego poziomu sportowego zawodów rozgrywanych w Otwocku. Jednym z przykładów jest wspomniany powyżej reprezentant Węgier, ale i w szeregach reprezentantów Polski mamy czynnych lub byłych zawodników z ligowym doświadczeniem, dzięki czemu od lat możemy stawiać czoła naszym rywalom z innych państw.

SPORT I TURYSTYKA

Zawody sportowe o charakterze międzynarodowym są również doskonałą okazją do nawiązywania prywatnych kontaktów, co przed kilkoma laty mogli docenić nasi koledzy ze Słowacji, którym poważne uszkodzenie samochodu służbowego w Mszczonowie uniemożliwiłoby dojazd do Otwocka i udział w turnieju. Uniemożliwiłoby….. gdyby nie „bratnia pomoc" zaprzyjaźnionej reprezentacji Izby Celnej w Katowicach, która zorganizowała holowanie, naprawę z odroczeniem płatności i – przy wydatnej pomocy Pana Piotra Krętkowskiego – transport zastępczy dla naszych słowackich przyjaciół.

Przy tej okazji warto wymienić także pozostałych zawodników, którzy od 2005 roku przyczyniali się do sukcesów naszej drużyny: ś.p. Róża Franek, Irena Kuczera, Jolanta Szumiłowska-Smyła, Joanna Jackowska, Janusz Łuckoś, Jarosław Mrozek, Bogusław Mojeścik, Andrzej Goleniec, Rudolf Lanc i Franciszek Bierski.

Uczestnikami wszystkich dziesięciu dotychczasowych turniejów i zdobywcami największej ilości trofeów byli natomiast Rafał Krzywdziński, Marek Sitek i Grzegorz Ochodek.

st. asp. Rafał Krzywdziński
Izba Celna w Katowicach
kapitan reprezentacji
w tenisie stołowym

VII Mistrzostwa Polski Służby Celnej w pływaniu „Białobrzegi 2014"

W dniach 14-16.03.2014 r. odbyły się VII Mistrzostwa Polski Pracowników i Funkcjonariuszy Służby Celnej w pływaniu. Zawody odbyły się na basenie Integracyjnego Ośrodka Sportu i Rekreacji Aquapark Fala w Nieporęcie. Startowało aż 64 uczestników reprezentujących 12 izb celnych, w tym 22 panie.

Po jednosezonowej przerwie, zawodnicy Izby Celnej w Krakowie ponownie *na fali* wzięli udział w imprezie, ku niezadowoleniu konkurencji. To może nieco trąci pychą, jednakże takie głosy, wprawdzie w żartobliwym tonie, dało się na tu i ówdzie słyszeć. To nam schlebia.

Powodem tego a jednocześnie naszego dużego zadowolenia były osiągnięte wyniki. Oczywiście prym wiodły nasze panie, jak zawsze w doskonałej formie. Małgosia Wach wywalczyła 2 srebra za 50 m klasycznym i dowolnym oraz brąz za 100 m zmiennym, Gabrysia Leszczyńska złoto za 50 m grzbietem, srebro za 100 m zmiennym i brąz za 50 m dowolnym.



Na pływalni

Nową zawodniczką w naszej *krakowskiej* drużynie i zarazem mogącą pochwalić się znakomitym wynikiem w kategorii zawodniczek „50+" jest Basia Mozgawa, która zajęła dwa solidne 4 miejsca na 50 m dowolnym i klasycznym. Nie do pobicia również był Zbyszek Kura, który lekko wyrwał 2 złota w kategorii „50+" w rozgrywkach 50 m dowolnym i klasycznym. No i wreszcie ja w swojej ulubionej kategorii na mordercze 400 m dowolnym zająłem punktowane 8 miejsce, a ponadto (pierwszy raz w swojej historii) załapałem się do finałów na 50 m dowolnym i zająłem 9 miejsce.

Znakomite wyniki osiągnęliśmy również w sztafetach, w których wywalczyliśmy 2 zespołowe brązy. No i wreszcie na koniec najważniejsze; drużyna z Izby Celnej w Krakowie zajęła drugie miejsce w klasyfikacji generalnej osiągając 93 pkt tuż za Białą Podlaską i przed Przemyślem.

Zawody stały na bardzo wysokim poziomie. Dowodem tego jest chociażby znakomity udział Sylwii Gawlikowskiej 12-krotnej medalistki Mistrzostw Świata i Europy oraz wielokrotnej olimpijki w 5-boju nowoczesnym reprezentującej Izbę Celną w Warszawie.

Kończąc gratuluję naszej drużynie i pozostałym uczestnikom jak również organizatorom imprezy. Liczę również, że w przyszłym sezonie powiększymy skład naszej drużyny, dlatego już dziś apeluję do chętnych: bierzcie się do roboty koleżanki i koledzy!

asp. Andrzej Ferduła
Izba Celna w Krakowie

Pływacki triumf

Dla bialskich celników zawody te miały wymiar historyczny z wielu względów. Przede wszystkim zakończyły się po raz pierwszy ich zwycięstwem drużynowym, które było bezapelacyjne.

VII Mistrzostwa Polski Służby Celnej w pływaniu rozegrano w dniach 14-15 marca na pływalni w Nieporęcie k. Warszawy. Na starcie zameldowało się ponad 60 osób z 12 izb celnych. Siedmioosobowa reprezentacja Izby Celnej w Białej Podlaskiej zgromadziła 135 punktów, wyprzedzając krakowską izbę celną (93 p.) i Izbę Celną w Przemyślu (86 p.).

Za drużynowym sukcesem reprezentantów Izby Celnej w Białej Podlaskiej kryją się oczywiście zarówno osiągnięcia indywidualne, jak i sztafetowe. Tradycyjnie już z kilkoma medalami wrócił Paweł Merkisz (Urząd Celny w Lublinie). Tegoroczny jego dorobek to 5 krążków:

- 3 złote medale (na 50 m stylem klasycznym oraz w sztafetach 4x50 m stylem dowolnym i 4x50 m stylem zmiennym);
- srebrny medal na 100 m stylem zmiennym;
- brązowy medal na 50 m stylem dowolnym.

Niekwestionowanym królem medalowego polowania był natomiast inny reprezentant bialskiej izby celnej – debiutujący w pływackich mistrzostwach Kamil Kuś (Urząd Celny w Zamościu). „Zgarnął" on wszystko, co jeden zawodnik może w tych mistrzostwach zdobyć, czyli 6 złotych medali. Oprócz złotych medali w sztafetach zwyciężał na 50 m stylem dowolnym, 50 m stylem grzbietowym, 100 m stylem zmiennym i 400 m stylem dowolnym.

Swoim wyczynem Kamil ustanowił nowy medalowy rekord (notabene dotychczas należący do… Pawła Merkisza, który w 2008 roku również zdobył 6 medali lecz „tylko" 5 złotych i jeden srebrny).

Wspomniane już zwycięskie sztafety wystąpiły w następujących składach:

- 4x50 m stylem dowolnym: Magdalena Mączyńska, Paweł Merkisz, Kamil Kuś, Adam Samociuk;
- 4x50 m stylem zmiennym: Kamil Kuś, Dariusz Duchnowski, Paweł Merkisz, Magdalena Mączyńska.

Dorobek medalowy bialskiej izby celnej uzupełniła Iwona Nurek (Urząd Celny w Lublinie), której drugi czas w finałowym wyścigu dał srebrny medal na 50 m stylem dowolnym w kat. „50+".



Grupowe zdjęcie z organizatorem

Punkty do końcowej klasyfikacji uzupełniły następujące osiągnięcia:

- M. Mączyńska (Izba Celna w Białej Podlaskiej) – 5 miejsce na 50 m stylem dowolnym i 7 miejsce na 50 m stylem klasycznym;
- I. Nurek (Urząd Celny w Lublinie) – 4 miejsce na 50 m stylem klasycznym (50+);
- D. Duchnowski (Izba Celna w Białej Podlaskiej) – 6 miejsce na 50 m stylem klasycznym i 7 miejsce na 50 m stylem grzbietowym;
- A. Samociuk (Urząd Celny w Białej Podlaskiej) – 7 miejsce na 50 m stylem dowolnym i 7 miejsce na 50 m stylem motylkowym;
- J. Lewczuk (Urząd Celny w Białej Podlaskiej) – 7 miejsce na 50 m stylem klasycznym (50+).

Za wyniki, wolę walki i ambicję sportową, organizatorzy nagrodą specjalną wyróżnili dwoje uczestników mistrzostw. Obo-

je pierwszy raz startowali w pływackich mistrzostwach i w sposób imponujący zaakcentowali swój w nich udział. W kategorii pań wyróżniono Sylwię Gawlikowską z Izby Celnej w Warszawie (12-krotna medalistka Mistrzostw Świata i Europy w 5-boju nowoczesnym, uczestniczka igrzysk olimpijskich w Atenach i Pekinie), natomiast w kategorii panów wyróżnienie to przypadło oczywiście Kamilowi Kusiowi z Izby Celnej w Białej Podlaskiej.

nadkom. Dariusz Duchnowski
Izba Celna w Białej Podlaskiej

Warszawskie złotka i sreberka

W XXXIII edycji biegów długodystansowych, które odbyły się 2 marca 2014 r. w Wiązownej, warszawscy celnicy pokazali się z jak najlepszej strony.

Ekipa w składzie: **Grażyna Matraszek-Werko** *specjalista ds. BHP,* **Paweł Gawlak** *z* Oddziału Celnego Osobowego w Warszawie, **Jarosław Salamon** z Oddziału Celnego w Siedlcach, **Natalia Szuba** z Oddziału Celnego w Garwolinie oraz **Rafał Wrzosek** z Oddziału Celnego w Radomiu **– zdobyła** w punktacji generalnej srebrny puchar, mając tyle samo punktów, co zwycięzcy.

Grażyna w klasie >50 obroniła zeszłoroczny tytuł mistrzowski, Paweł mimo problemów w przygotowaniach do startu, uplasował się tuż za podium.

Prawdziwą rewelacją zawodów była pozostała trójka debiutantów.

Jarek – złoty medalista na 21 km w kategorii 50+, pokonał całą plejadę wspaniałych biegaczy z zeszłorocznym mistrzem na czele. Za ten wyczyn, organizator uhonorował go dodatkową nagrodą specjalną.

Natalia w swoim debiucie, we wspaniałym stylu wbiegła na metę na 2 miejscu na dystansie 5 km.



Warszawskie drużynowe srebro

Rafał na tym samym dystansie nie chciał być gorszy i po zaciętej walce również zaanektował 2 stopień podium.

Indywidualnie zdobyliśmy 4 trofea. I tym razem na piersiach sportowców po 50-tce zawisły medale z cenniejszego kruszcu.

asp. Adam Misiak
Izba Celna w Warszawie

Chłopaki na medal

Pierwsza niedziela marca br. przebiegła pod hasłem sportowej rywalizacji.Zorganizowano „Wiązowski Półmaraton", w którym nie zabrakło przemyskich celników. Zdobyte przez naszych funkcjonariuszy 2 srebrne medale wzbogaciły izbową kolekcję.

Centrum Edukacji Zawodowej Resortu Finansów Ośrodek Zamiejscowy w Otwocku zorganizowało po raz drugi mistrzostwa funkcjonariuszy celnych w biegach długodystansowych. Mistrzostwa organizowane były w ramach XXXIV Półmaratonu Wiązowskiego, który odbył się w dniu 2.03.2014r. w Wiązownie.

W ramach rywalizacji przewidziany był udział przedstawicieli Służby Celnej w biegu głównym na dystansie 21,1 km i na dystansie 5 km.

Na zawodach spotkali się miłośnicy biegania z 12 Izb Celnych, łącznie 53 biegaczy (w tym 12 pań). Izbę Celną w Przemyślu reprezentowało 4 zawodników: Marcin Wójcik, Jacek Hadam, Mariusz Radoń, Grzegorz Michalski. W samo południe wystartowali uczestnicy półmaratonu, a 15 minut później biegacze „Wiązowskiej 5-tki". Rywalizacja stała na bardzo wysokim poziomie, ale mimo zmęczenia, dobry humor nie opuszczał uczestników.

W dwóch kategoriach przemyscy celnicy (M. Wójcik i G. Michalski) zdobyli miejsca na podium – z półmaratonu przywieźli 2 srebrne medale.

Dystans 21,1 km mężczyzn

1. Krzysztof Umbras – IC Olsztyn – 1 godz. 17 min.49 sek.
2. Wójcik Marcin – IC Przemyśl – 1 godz. 21 min. 01sek.
3. Jarosław Łaskarzewski – IC Olsztyn – 1 godz. 25 min. 05 sek.
4. Hadam Jacek – IC Przemyśl – 1 godz. 25 min. 14 sek.

Dystans 5 km mężczyzn Kat. 50+

1. Kapaś Mirosław – IC Katowice – 22 min. 46 sek.
2. Michalski Grzegorz – IC Przemyśl – 23 min. 09 sek.
3. Kaczmarek Wiesław – IC Biała Podlaska - 23 min. 23 sek.
4. Górny Przemysław – IC Poznań – 26 min. 47 sek.

Dystans 21,1 km mężczyzn Kat. 50+

6. Mariusz Radoń – IC Przemyśl – 1 godz. 45 min. 35 sek.

Na zakończenie półmaratonu nastąpiła uroczysta dekoracja zwycięzców.



Przemyska ekipa Wiązowskiego Półmaratonu

Gratulujemy wszystkim uczestnikom i życzymy kolejnych sukcesów!

rachm. Agnieszka Stasiak
Izba Celna w Przemyślu

Sportowe szaleństwa Gienka

Po brązowym medalu zdobytym w tym roku w tenisie stołowym, **Eugeniusz Tomaszuk w kategorii >50 wywalczył złoty medal w Mistrzostwach Polski polskiej Służby Celnej w Tenisie Ziemnym, które odbyły się w czerwcu 2014 r.**

Pokonał w finale byłego Mistrza Polski Juniorów Macieja Bałazińskiego z Izby Celnej we Wrocławiu oraz wspaniałego Wojciecha Janczewskiego z Izby Celnej w Białymstoku – medalistę z lat ubiegłych.

To nie ostatnie punkty zdobyte przez Gienka w tych zawodach. W parze z Dariuszem Bedrą z Wydziału Wiążących Informacji WIT i WIP wywalczyli wśród siedemnastu debli 5 pozycję.

Zdopingowane i natchnione sukcesem naszego lidera Marta Wiśniewska z Urzędu Celnego w Pruszkowie oraz Magdalena Paradowska z wydziału zwalczania przestępczości w grze deblowej uplasowały się na 4 miejscu.

Indywidualnie Marta zdobyła 5 lokatę w grze singlowej. Po zsumowaniu wszystkich punktów okazało się, że jesteśmy ex aequo 4 ekipą mistrzostw.



Gienek zwycięzca

Start w zawodach uważam za bardzo udany, mimo, że nie mogliśmy skorzystać z udziału dwojga bardzo dobrych zawodników.

asp. Adam Misiak
Izba Celna w Warszawie

XXII rejs Klubu Żeglarskiego „111”

W dniach 30.05-01.06 br. odbył się XXII rejs klubu żeglarskiego „111”, w którym wzięli udział klubowicze oraz sympatycy żeglarstwa z izb celnych z Gdyni, Warszawy, Wrocławia, Olsztyna, Kielc i Rzepina. Część załóg wypłynęła na jeziora kilka dni wcześniej, natomiast oficjalne otwarcie rejsu przy ognisku, ze śpiewem szant i akompaniamencie gitarzystów nastąpiło w piątkowy wieczór w Kietlicach nad jeziorem Mamry.

Dnia 31 maja o poranku odbyło się zgłoszenie załóg i odprawa sterników dokonana przez sędziego głównego Teresę Godlewską. Ustalono, iż odbędą się trzy biegi po wyznaczonej trasie oraz czwarty polegający na opłynięciu wyspy Upałty i Mł. Kępa.

Tym razem pogoda zadowoliła nawet najbardziej wybrednych żeglarzy, bowiem świeciło słońce i wiał wiatr o sile 4 w skali Beauforta. Pierwszy bieg wygrała załoga jachtu Michaś, za nim była załoga Pulsara i Hucułki. W drugim biegu najszybciej na linii mety zameldowała się załoga Pulsara, za nim Michaś i Meteor. Trzeci bieg ponownie wygrał Michaś przed Bełbotem i Meteorem.

Wiele radości i sprawdzian umiejętności przyniósł czwarty bieg, w którym



XXII rejs klubu żeglarskiego „111”

mielizna powodowała kręcenie „bączków” (obrót jachtu w miejscu). Tylko nieliczne załogi uniknęły tego, obserwując czołówkę wyścigu.

Wieczorem odbyło się ogłoszenie wyników regat oraz podsumowanie rejsu. Zwycięskim załogom puchary i medale wręczał Komandor klubu 111 Marek Bortnik oraz w zastępstwie Głównego Sędziego Zbigniew Sawicki właściciel Stanicy Wodnej Kietlice. Każda załoga biorąca udział w rejsie otrzymała dyplom. Ponadto doceniono oprawę muzyczną rejsu i aktywność na pomoście. Po wspólnym zdjęciu i wypiciu szampana wieczór upłynął na śpiewie przy ognisku, a później na dyskotece w Tawernie.

Niedzielny poranek to już niestety ostatnie wspólne śniadanie i czas pożegnania.

podkom. Bernarda Rabiczko
Izba Celna w Białymstoku



Pamiątkowe zdjęcie na zakończenie rejsu

Było o nas głośno

W marcu 2013 r. w Wiązownej odbyły się I Mistrzostwa Polski Pracowników Administracji Celnej w biegach długodystansowych.

Jak się okazało, były to również eliminacje do maratonu w Brukseli. Zaszczytu reprezentowania polskich celników dostąpili: **Krzysztof Umbras z Izby Celnej w Olsztynie,** zwycięzca półmaratonu w Wiązownej oraz zdobywca 2 miejsca **Paweł Gawlak z Izby Celnej w Warszawie.**

W zawodach w stolicy Belgii wzięły udział reprezentacje 27 państw Unii Europejskiej w 3-osobowych składach.

Wśród 81 uczestników, polska eksportowa dwójka zajęła drużynowo 3 miejsce. Indywidualnie Krzysztof był 6, natomiast Paweł dobiegł do mety na 8 pozycji.

Wspaniały start naszych maratończyków spod znaku Merkuriusza spowodował, że w Brukseli było o nas głośno.

Dziękujemy Wam za dostarczenie wielu wzruszeń i emocji.





Krzysztof i Paweł – reprezentanci polskiej Służby Celnej – 3 miejsce drużynowo na zawodach w Belgii

asp. Adam Misiak
Izba Celna w Warszawie

Żelazne płuca

19 lipca 2014r. Gdański Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji zorganizował kolejną edycję zawodów triathlonowych na dystansie Olimpijskim (1/4 IronMana), czyli w kolejności 950 m pływanie, 45 km rower i 10,5 km biegu. Fajne miejsce – Gdańsk-Brzeźno – dodatkowo blisko domu, postanowiłem, więc spróbować swoich sił z nadzieją na ukończenie zawodów w limicie czasowym tj. 4 godzin. Miesiąc wcześniej zacząłem przygotowywać organizm do takiego debiutu. W dniu startu pogoda dopisała wyśmienicie – gorąco i bezwietrznie. Miało to jednak swoje plusy i minusy. O 9:30 na starcie stanęło 410 zawodników i zawodniczek. Po chwili wspólny start z plaży i od razu walka o dobrą pozycję oraz o niezatopienie, zwłaszcza przy dopłynięciu do pierwszej boi. Potem stawka się już rozciągnęła. Po pierwszej konkurencji zajmowałem 255 miejsce z czasem 22 min. Wyjście z wody, dotarcie do strefy zmian, szybkie oporządzenie do roweru i na trasę. Czterdzieści pięć kilometrów udało o mi się pokonać w 1,25 h. Dzięki temu przeskoczyłem na 232 miejsce. Na koniec



Nareszcie meta

bieg i tutaj wysoka temperatura zrobiła swoje. Z racji tego, że w bieganiu czułem się najlepiej, w tej konkurencji udało mi się uplasować na 154 miejscu. Z „rogalem" na ustach dotarłem do mety zajmując w debiucie 206 miejsce w klasyfikacji ogólnej, a 9 na 22 startujących w mojej kategorii wiekowej z czasem łącznym 2:44,11 sek. Szczęśliwy odebrałem pamiątkowy medal i gratulacje od rodziny.

mł. asp. Jacek Waga
Urząd Celny w Gdańsku

Mistrzowie bowlingu



Bowling cieszy się popularnością wśród toruńskich celników

W ostatnich latach bardzo popularną dyscypliną sportową stał się bowling, czyli po prostu kręgle. Nowe kręgielnie i kluby bowlingowe jak grzyby po deszczu wyrastają przy nowych centrach handlowych w wielu miastach. Bowling cieszy się także stosunkowo dużą popularnością wśród funkcjonariuszy celnych Izby Celnej w Toruniu. Po pracy w formie zabawy i na sportowo spędzamy z przyjemnością kilka godzin w gronie koleżanek i kolegów z pracy. Cykliczne spotkania procentują z czasem osiąganiem dobrych wyników. Motywacyjnie działa także to, że od kilku lat w Toruniu organizowane są turnieje bowlingowe służb mundurowych. Uczestniczą w nich straż-

nicy miejscy, strażacy, policjanci, wojskowi, strażnicy więzienni oraz celnicy. Niektóre formacje – Straż Miejska, mają nawet swoją ligę bowlingową. Pozostali amatorzy stanowią, zatem na każdym turnieju tło dla faworytów. Reprezentacja celników od kilku lat zajmowała jednak zawsze trzecie lub czwarte miejsce w rozgrywkach. 18 maja 2014r. w toruńskim „Fantasy Park" odbył się nietypowy turniej „Nocny bowling", którego głównym organizatorem był komendant miejski Państwowej Straży Pożarnej w Toruniu. W szranki stanęło 13 zespołów reprezentujących różne formacje mundurowe w tym m.in. policję, straż pożarną, wojsko., straż miejską i Służbę Celną. Faworytem jak zawsze była drużyna Straży Miejskiej w Toruniu. Regulamin przewidywał, że w składach drużyn obowiązkowo powinni uczestniczyć komendanci, dyrektorzy lub szefowie jednostek. Po zaciętej walce w fazie eliminacyjnej do finału dotarły 4 drużyny: Straży Miejskiej z Torunia, Straży Pożarnej z Torunia i z Chełmna oraz reprezentacja Izby Celnej w Toruniu z dyrektorem Wojciechem Baranowskim na czele. Przedstawiciele Służby Celnej z Torunia i Bydgoszczy zaprezentowali równy i bardzo wysoki poziom skuteczności. Efektem precyzyjnie rozbijanych dziesięciu pinów ustawionych w trójkąt był wynik dający pierwsze miejsce drużynie Izby Celnej w Toruniu. Faworyzowani strażnicy musieli pogodzić się z porażką i zajęli trzecie miejsce, a na drugim uplasowali się gospodarze - strażacy z Torunia.

Przy tej okazji warto również wspomnieć o sporym sukcesie, jakim zakończył się X Memoriałowy Turnieju Futsalu im. ppłk. Stefana Lewandowskiego, który odbył się 1 lutego 2013 roku na terenie Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toruniu. W rozgrywkach brały udział drużyny reprezentujące wojsko (3 drużyny), policję, straż pożarną, straż miejską, areszt śledczy i oczywiście izbę celną. W trakcie zmagań piłkarskich drużyna Izby Celnej w Toruniu zdobyła II miejsce ustępując w finale jedynie wojskowym z CSAiU. Wynik był bardzo spektakularny zwłaszcza biorąc pod uwagę średnią wieku naszych piłkarzy, która wyniosła ponad 30 lat.

rachm. Jacek Cichocki
Izba Celna w Toruniu

Bieganie – mój sposób na życie

Przygodę z bieganiem rozpocząłem kilkanaście lat temu. Chciałem w ten sposób poprawić swoją kondycję między kolejnymi wyjazdami w góry, które wtedy były moją główną pasją. Wówczas nie był to jeszcze sport tak popularny jak dzisiaj, więc o pewną sensację wśród postronnych obserwatorów nie było trudno.

Po pewnym czasie zdecydowałem się na swój pierwszy start w biegu długodystansowym. Był to półmaraton (21 kilometrów 97 metrów), zorganizowany w Łodzi przez jeden z banków. Przeżycie z nim związane pozostało na zawsze w mojej pamięci, mimo iż dotychczas wziąłem udział w kilkuset biegach na różnych dystansach. Spotkanie z innymi biegaczami, niezwykła atmosfera przed startem, w czasie biegu i na mecie utwierdziły mnie w przekonaniu, że bieganie będzie moją pasją nr 1.

Kolejne starty i zdobywane doświadczenie postawiły mnie przed dobrze znanym wyzwaniem: „przestań biegać, zacznij trenować". Usystematyzowany i zaplanowany trening nierozerwalnie związany jest z innymi obszarami życia i ma na nie zdecydowany wpływ. Wyjście z domu, żeby biegać w deszczowy, listopadowy wieczór albo w mroźne, styczniowe popołudnie wymaga często dużego samozaparcia i dyscypliny. Ważne jest zarówno to, co i kiedy się je, jak i umiejętność szybkiej regeneracji organizmu i odpoczynku. A wszystko to obok głównych nurtów: życia rodzinnego i zawodowego.

Każdego roku biorę udział w kilkunastu zawodach biegowych w kraju, a w miarę możliwości również za granicą, na dystansach od 5 do 50 kilometrów. Moim ulubionym dystansem



W lipcu tego roku wystartowałem w półmaratonie górskim II Wielka Pętla Izerska

jest maraton. Wiosną tego roku w Krakowie, 42 kilometry i 195 metrów pokonałem w czasie 3:36:45.

Organizowane od dwóch lat Mistrzostwa Polski Służby Celnej w biegach długodystansowych są doskonałą okazją do spotkania kolegów biegaczy z całej Polski. Poziom przez nich prezentowany jest naprawdę bardzo wysoki. Dwukrotnie miałem przyjemność, wspólnie z kolegami z Izby Celnej w Łodzi, uczestniczyć w tych zawodach.

We wrześniu 2012 roku miałem również możliwość reprezentowania Polskiej Służby Celnej w kilku biegach organizowanych pod egidą ECSA (European Customs Sport Association) w Czechach.

Duże znaczenie przykładam do łączenia mojej miłości do biegania z możliwością pomocy innym ludziom. Jako członek stowarzyszenia biegowego zaangażowany jestem w charytatywną działalność Fundacji Dbam o Zdrowie, patrona i jednego z organizatorów corocznego Maratonu Łódzkiego. W planach sportowych mam połączenie dwóch moich największych pasji: gór i biegania. Pierwszy krok w tym kierunku mam już za sobą – w lipcu tego roku wystartowałem w półmaratonie górskim II Wielka Pętla Izerska.

Wszystkim koleżankom i kolegom, którzy już biegają lub dopiero zastanawiają się, czy warto uprawiać ten sport zacytuję słowa amerykańskiego maratończyka, mistrza olimpijskiego Franka Shortera: „Chcę, żeby czas spędzony na bieganiu był moją nagrodą".

st. asp. Rafał Błaszczyk
Izba Celna w Łodzi

Sportowa pasja

Trudno jest opisać stan euforii i ekscytacji – jaką wzbudza możliwość sportowej rywalizacji. To są emocje i uniesienia, które w swej klasycznej, amatorskiej postaci – pozwalają na prawdziwe odreagowanie wszelkich trosk i ewentualnych problemów dnia codziennego.

Stanowią wspaniały, szalenie osobisty i subiektywnie pojmowany azyl, do którego można się udać w każdym sprzyjającym momencie i tam zatracić się bez reszty, czy to w samodyscyplinie i dążeniu do poprawienia osobistych celów i rezultatów, albo po prostu w czerpaniu czystej radości i przyjemności z uprawiania ulubionej dyscypliny sportu, która często nie ogranicza się jedynie do mozolnego wykonywania tych samych powtórzeń, lecz pozwala czerpać przyjemność np. z możliwości obcowania z przyrodą.

Mnie osobiście fascynują i pociągają oba te czynniki jednocześnie.

Wielką przyjemność sprawia mi samo dążenie do poprawienia własnych umiejętności, takich jak celność, szybkość, zwinność, precyzja, wytrzymałość, siła, itp. Nie mniejszą satysfakcję czerpię jednak z pracy nad własnym organizmem i eliminowaniem jego słabości, a raczej z przesuwania w ten sposób granic swojej wydolności.

Nie można zapomnieć o wartościach nadrzędnych, które niesie ze sobą uprawianie pewnych dyscyplin sportu. Mam na myśli możliwość podziwiania uroków natury i zapierających dech w piersiach widoków. Sport hartuje nie tylko ciało, karmi również duszę i wzmacnia psychikę. Pozwala łatwiej radzić sobie z przeciwnościami losu. Nigdy nie ocenia surowiej niż to wynika z reguł danej dyscypliny i zawsze pozwala na podjęcie ponownej próby i to zarówno w wymiarze czysto rekreacyjnym, jak i w wersji nastawionej na pewną formę rywalizacji z innymi pasjonatami danej dyscypliny.



Zjazd z Trzech Kopców w Wiśle

Nie do przeceniania wydaje się być możliwość wspólnego spędzania czasu z innymi ludźmi podczas uprawiania ulubionych dyscyplin sportu, wspominania osiągnięć i dzielenia się wszelkimi informacjami i uwagami związanymi ze sportowymi emocjami. Takie wzajemne zarażanie swoimi pasjami członków rodziny lub przyjaciół, sprawia, że praktycznie każda forma aktywnego wypoczynku zyskuje także wymiar kształtujący zdrowy styl życia naszych najbliższych oraz stanowi podłoże do zacieśniania relacji towarzyskich i poznawania innych ludzi.

Każdy znajduje w takiej formie spędzania czasu coś, co daje mu czystą radość, coś co inspiruje i porusza zmysły. Takie wspomnienia kreują pozytywne myślenie i nastawienie do otaczającej nas rzeczywistości, którą często cechuje rutyna, trywialność i bezbarwność...

Nie liczą się tak naprawdę medale, puchary i nagrody... To są jedynie bonusowe dodatki i pewne symbole. Prawdziwą satysfakcję czerpię z poczucia samorealizacji, spełniania zamierzonych celów, często z samego faktu bycia w pewnych miejscach, w których bez sportowej pasji pewnie nigdy bym nie był.

Sport w wydaniu amatorskim jest pewnym stylem życia. Ma też jeszcze jedną ważną zaletę: „klęska jest jedynie stanem umysłu i nikt nie jest pokonanym, dopóki nie zaakceptuje swej porażki jako rzeczywistości".

Uprawiając sport przestajemy się obawiać bycia skrzywdzonym, w wyniku zaistnienia tych samych powodów, czy w ten sam powtarzający się sposób, ponieważ przestajemy się obawiać podjęcia kolejnej próby.

Sport jest takim magicznym tworem, który pozwala na wielokrotne podejmowanie wyzwań i daje nieskończenie wiele szans... A tego raczej nie znajdziemy w śmiertelnie poważnym, realnym świecie...

rachm. Tomasz Wirkus
Urząd Celny w Piotrkowie Trybunalskim

Siatkówka plażowa – 2. miejsce Służby Celnej

24 maja br. odbył się w Zamościu II Turniej Piłki Plażowej Formacji Mundurowych o Puchar Dyrektora Zakładu Karnego w Zamościu. Turniej objęło patronatem Zamojskie Stowarzyszenie Przyjaciół Piłki Siatkowej.

W imprezie wzięło udział dziesięć zespołów, przy czym oprócz reprezentujących *stricte* umundurowane formcje, jak Służba Więzienna, Policja, Wojsko, Straż Pożarna, Straż Miejska, Straż Graniczna i oczywiście Służba Celna, udział wzięły „instytucje zaprzyjaźnione" w postaci drużyny Sądu Okręgowego, Prokuratury Rejonowej oraz współorganizującego zawody - Zamojskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Piłki Siatkowej. Urząd Celny w Zamościu reprezentowali w składzie podstawowym Krzysztof Miedziak i Radosław Serafin oraz koordynujący samozwańczy *coach* i zawodnik rezerwowy Konrad Michałowski.

Turniej rozegrany został w dwóch fazach – pierwsza grupowa (gdzie w trzech grupach zespoły walczyły o „wyjście" systemem „każdy z każdym"), a następnie trzy wyłonione w ten sposób drużyny rywalizowały już o konkretne miejsce na podium (znów „każdy z każdym").

Początek zawodów nie napawał optymizmem, ponieważ w wyniku losowania nasza ekipa trafiła do „grupy śmierci" z reprezentacjami Straży Pożarnej i Policji. O klasie tych zespołów świadczyć może fakt, że w rozegranym w ostatnim czasie analogicznym „mundurowym" turnieju piłki siatkowej w hali drużyny te zajęły odpowiednio 2. i 3. miejsce. Nie zdeprymowało to jednak naszych zawodników, którzy po dwóch spektakularnych zwycięstwach z kompletem punktów weszli do grupy finałowej. Nie zwalniając nasz zespół, po zaciętym boju, pokonał drużynę Zamojskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Piłki Siatkowej i dopiero w finałowym spotkaniu z zawodnikami Straży Granicznej musiał uznać przewagę przeciwników.



Rozpoczęcie turnieju

Warto wspomnieć, że reprezentacja Urzędu Celnego w Zamościu walczyła w finale grając praktycznie bez odpoczynku drugi z rzędu mecz w ekstremalnych warunkach atmosferycznych – w pełnym słońcu, ok. godz. 14.30, w temp. dochodzącej do 35 st. C (taki klimat i losowanie).

Zawody zakończyły się uroczystym wręczeniem dyplomów, madali i pucharów przez organizatora – dyrektora Zakładu Karnego w Zamościu mjr Krzysztofa Stefanowskiego i sekratrz Zamojskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Piłki Siatkowej Annę Konczewską, podczas festynu organizowanego przez zarząd Osiedla Promyk w Zamościu.

rachm. Konrad Michałowski
Oddział Celny w Zamościu

Izba Celna w Przemyślu po raz trzeci mistrzem w piłce siatkowej

Reprezentacja Izby Celnej w Przemyślu zdobyła złoty medal podczas XII Mistrzostw Polski Służby Celnej w piłce siatkowej, które odbywały się w dniach 11-13.04.2014 r. w Otwocku.

Po blisko dwuletniej przerwie wznowiono rywalizację w piłce siatkowej. Do turnieju zgłoszonych zostało 13 ekip, które podzielono na 4 grupy.

Grupa „A" – IC Przemyśl, IC Warszawa, IC Poznań
Grupa „B" – IC Białystok, IC Szczecin, IC Kraków, IC Wrocław
Grupa „C" – IC Olsztyn, IC Rzepin, MF
Grupa „D" – IC Łódź, IC Katowice, IC Biała Podlaska

Zespół nasz rozpoczął rywalizację tuż po przybyciu do Otwocka w piątek (11.04.) o godzinie 15:30 z Warszawą. Pierwszy set wygrali stołeczni 25-23. W kolejnych partiach losy spotkania odmienili nasi zmiennicy, którzy zaczynali mecz z ławki i w efekcie cieszyliśmy się ze zwycięstwa w setach 2:1.

W drugim meczu tego samego dnia dość łatwo pokonaliśmy Poznań 2:0 i tym samy awansowaliśmy z I-go miejsca w grupie „A" do ćwierćfinałów.

Sobotni mecz o „być albo nie być" rozpoczęliśmy o godzinie 11 z reprezentacją IC Katowice, która zajęła drugie miejsce w grupie „D". Przegrany tego meczu, mógł tego samego dnia



Zwycięska drużyna z Izby Celnej w Przemyślu.

pakować się i wracać do domu. Zwycięstwo w setach 2: 0 przybliżyło nas do kolejnego medalu i szansy na trzeci z rzędu tytuł Mistrza Polski.

W półfinale zagraliśmy z IC Szczecin, wygrywając w setach 2: 0, natomiast w drugiej parze rywalizowali reprezentanci IC Białystok i IC Biała Podlaska. Po dość wyrównanym meczu do finału awansował Białystok, z którym od lat walczymy o złoto. W meczu o trzecie miejsce, poprzedzającym finał, lepsi okazali się młodzi siatkarze z Białej Podlaskiej pokonując Szczecin 2:0.

Mecz finałowy przejdzie do historii naszych występów, jako dramat z „happy endem". Wyrównany pierwszy set, w którym drżały zarówno nam jak i przeciwnikom ręce zakończył się naszą wygraną 25-23. W kolejnej partii do stanu 11-11 graliśmy punkt za punkt. Potem wypracowana przewaga dzięki dobrej grze w bloku dała nam spokojne zwycięstwo w secie 25-21 i radość z trzeciego tytułu Mistrza Polski Służby Celnej w siatkówce.

Na zakończenie rozgrywek odebraliśmy złote medale, puchar i dyplom.

Skład reprezentacji Izby Celnej w Przemyślu

1. Dworak Tomasz (OC Budomierz)
2. Górski Piotr (IC Przemyśl)
3. Hander Leszek (UC Rzeszów)
4. Mazur Juliusz (OC Krościenko)
5. Ostafijczuk Łukasz (IC Przemyśl)
6. Owsiak Marcin (OC Korczowa)
7. Pekosz Sławomir (OC Medyka)
8. Szpilka Joanna (UC Przemyśl)
9. Tokarz Izabela (OC Korczowa)

st.apl. Tomasz Dworak
Oddział Celny w Budomierzu

Połoniny w słońcu – bieszczadzki słoneczny patrol

Przygoda z „nordikiem"

Sukcesy sportowe jednej z naszych koleżanek z wydziału kadr i szkolenia dowodzą, że początki nie zawsze są trudne. Wręcz przeciwnie Katarzyna Staruchowicz, bo o niej mowa, jest przykładem na to, że nordic walking może być źródłem nie tylko dobrego samopoczucia i sportowej satysfakcji, ale też wytrwałości i siły charakteru.

Przygodę z nordic walking Katarzyna zaczęła całkiem niedawno, bo w czerwcu tego roku. Pewnego dnia postanowiła dołączyć do lokalnego klubu sportowego „Biała Biega". W pierwszych zawodach wystartowała już 13 lipca. Była to tzw. Tatarska Piątka w Studziance, gdzie na 37 uczestników nasza koleżanka zajęła 6 miejsce wśród kobiet.

Kolejne było 8 miejsce w Biegu Międzyrzeckich Jeziorek na dystansie 5 km, ukończonym rekordem życiowym. Paradoksem jest, że ten najlepszy jak dotąd czas, dał jej w tych zawodach najdalsze jak dotychczas miejsce. Jak sama mówi: „dużo zależy od trasy, ale również od innych startujących, którzy ustalają pewien poziom". W Biegu Międzyrzeckich Jeziorek Katarzyna Staruchowicz o pozycję na mecie walczyła z 33 kobietami. Później było już tylko lepiej. W Biegu Siedleckiego Jacka, rozgrywanym w Siedlcach, Katarzyna zajęła 5 miejsce w kategorii open pań.



Nordic walking

Najświeższy sukces to wynik na zawodach organizowanych w ramach Pucharu Polski w Nordic Walking w Hajnówce. Ka-

tarzyna zajęła 4 miejsce na dystansie 5 km w kategorii kobiet w wieku 30-39 lat i 2 miejsce w kategorii osób niepełnosprawnych. Tak się składa, że jeszcze niedawno Katarzyna walczyła z chorobą nowotworową. Dzisiaj daje przykład wszystkim tym, którzy wątpią w swoje siły, że nawet po przejściu tak strasznej choroby, można żyć aktywnie, a do tego odnosić sukcesy w sporcie i cieszyć się życiem.

Zapytana o formę treningu Katarzyna odpowiada skromnie, że raczej nie trenuje. Lubi jeździć rowerem i wyskoczyć na zumbę. Tylko od czasu do czasu chodzi z kijami i jedzie na zawody, nie po to żeby wygrywać, ale po to, by pokonywać swoje słabości. A zajęcie dobrego miejsca daje dodatkową satysfakcję i motywuje do dalszej pracy.

apl. Katarzyna Filipiuk
Izba Celna w Białej Podlaskiej

Karpiowanie to emocje i strategia

Siedzę w wygodnym fotelu, wpatrzony w tlące się, hipnotyczne i pachnące ognisko. Otulony odgłosami nocy siedzę i czekam. W oddali na wodzie kwilą kaczki, które zawsze mają coś do powiedzenia, choć najczęściej się z nas śmieją. Z tyłu gdzieś na drzewie odezwał się puchacz. Noc już trwała jakiś czas, jednak wolałem siedzieć zakopany w fotelu i chłonąć ciszę. I nagle piiiiiiiii – odezwał się sygnalizator.

Czym jest dla mnie karpiowanie? Nie wiem! Jednak czasem, gdy sygnalizator zagra, po emocjonującym holu, przyspieszonym biciu serca, krótkiej sesji fotograficznej. Karpiowanie, to emocje i strategia. Nie łatwo wyrwać z głębin karpia, przechytrzyć go, gdy szarpie wędkę.

I gdy czuję, jak nagle drgnął, pobudzony, ożywiony. Już wiem, że karp też już wie. I gdy go puszczam, i patrzę, jak spokojnie, majestatycznie odpływa, pozwalając na to abym widział go jak najdłużej - ciarki na plecach, a każda sekunda wiecznością.

Trawy ukwiecone latem, rozpalone słońcem szyszki pachnące żywicą, brzegi jezior zarośnięte aromatycznym tatarakiem. Te trzciniaki – nie zapominam o ich, nawet zimą.

Śpieszmy się kochać przyrodę, bo co raz mniej jej dookoła...

Kiedy wracam do domu po czterech, pięciu, czasem sześciu dniach zasiadki – po prostu duszę się mieszkaniem. Brakuje mi przestrzeni i powietrza, zachodów słońca, wieczornej flauty na jeziorze. Brakuje mi świergotania ptaków, a czasem i bębniącego deszczu o dach namiotu. Brakuje mi ogólnie wszystkiego -tak jakby mnie od tego ktoś odciął nagle.

Wybór miejsca na położenie zestawów, wybór haczyka i tego, co założę na włosa – to jest wyzwanie. My karpiarze, nazywamy to sensem życia. Całe to zamieszanie z łowieniem sprowadza się do radości ze wspólnych spotkań, ucieczki z miasta, zapomnienia się w przyrodzie.

To wspaniałe chwile, kiedy to przy ognisku można powymieniać spostrzeżenia, wspominać minione chwile, pochwalić się złowionymi rybkami. Czy też snuć opowieści o najbardziej skutecznych holach.

Ile tak naprawdę znaczy dla mnie karpiowanie?

Pamiętam swoje początki z wędkarstwem, gdy jako dziecko z rodzicami wyjeżdżałem nad jezioro Jeziorak na Mazury, potem Bory Tucholskie. Pamiętam chwile, gdy ojciec pokazywał mi podstawowe tajniki wędkarstwa, spławik, pierwszy grunt… – tam wszystko się zaczęło. Kilka lat później przyszedł czas, że zachorowałem na króla karpia! Przybyło trochę sprzętu, którego kompletowanie nigdy się nie kończy.



Czekam na rybę

Obozowiska wyglądają tak, jakby człowiek miał zamiar spędzić tam miesiąc. Jest dobrze, chyba zawsze czegoś takiego szukałem. Teraz, gdy przyjeżdżam nad wodę, jak najszybciej staram się rozbić obóz. Aby usiąść w końcu i cieszyć się tymi chwilami, bo jest ich naprawdę, coraz mniej w naszym życiu. Ach, i zapomniałbym o kawie. Czymże byłyby zasiadki bez porannej aromatycznej kawy. Ta kawa, i ten moment po przebudzeniu, kiedy można pomyśleć nad minionym wieczorem, nocą, i nadchodzącym dniem, w którym nie trzeba jeszcze wracać do domu. Tak! Karpiowanie jest dla mnie także tą chwilą.

Czy złowienie ryby jest sprawą najważniejszą?

Myślę, że niekoniecznie. Zdarzało się wrócić o kiju. Czasem spowodowane było to zbyt wysokim ciśnieniem, czasem moimi nikłymi jeszcze umiejętnościami, ale jakoś nie zraziłem się do tej pory. Co robić, aby złowić karpia?. Wymyślać teorie spiskowe. Próbować myśleć jak on. Co by zjadł, gdzie popłynął? Nawet wybierając miejsca na moje zasiadki staram się to wszystko przeanalizować. Przyjeżdżam wcześniej, oglądam miejsce na obóz. Miejsce na stojaki do wędek. Oglądam i myślę, jak wyglądać ma to moje wędkowanie. Czy jest miejsce ma alternatywne łowiska, czy tu znajdę to wszystko, czego szukam? Ciszę! Ognisko wieczorem! Spokój! Kawę z rana, i pełny relaks wieczorem, i przestrzeń! Bo to wszystko, to też karpiowanie!!!

Pii.....piiiiiiiiiii...piiiiiiiiiii – odezwał się sygnalizator.

st. rew. Paweł Marzec
Izba Celna w Katowicach

Dolnośląscy celnicy-sportowcy



W międzynarodowym towarzystwie

Tegoroczne zmagania sportowe dolnośląscy celnicy rozpoczęli od udziału w Mistrzostwach Polski SC w narciarstwie alpejskim. Reprezentacja Izby Celnej we Wrocławiu, zajmując 7 miejsce na 16 startujących uplasowała się w połowie listy. W kolejnej imprezie, którą były II Mistrzostwa Polski Służby Celnej w biegach długodystansowych, rozgrywane w ramach XXXIV Półmaratonu Wiązowego w okrojonym składzie – choroba uniemożliwiła udział w zawodach jednej z naszych zawodniczek, zdobywamy 8 miejsce. Tu kilka słów o naszej koleżance – zapalonej biegaczce – Agnieszce Października, która jako jedyna celniczka startująca w półmaratonie, poprawiła swój wynik o 25 minut w stosunku do rezultatu z poprzedniego roku, wyprzedzając w ogólnej klasyfikacji 10 mężczyzn.

Po konkurencji biegowej przenosimy się na chwilę na pływalnię, gdzie w VII Mistrzostwach Służby Celnej w pływaniu reprezentacja Izby Celnej we Wrocławiu debiutuje. W rywalizacji drużynowej zajęliśmy siódme miejsce na 12 startujących izb. Szczególne pochwały należą się naszym wspaniałym paniom: Natalii Ząbkiewicz, która zdobyła dwa złote medale oraz Monice Baszak, która zdobyła brązowy medal. Miejsca punktowe zdobywali również panowie: Andrzej Silczak, Piotr Dattner i Grzegorz Gryszkiewicz, Paweł Kopeć i Robert Potocki. Drużyna amatorów pływania, silna, głównie zaangażowaniem i wiarą w siebie, zapowiedziała walkę o lepsze miejsca w przyszłym roku.

W kwietniu do głosu powracają długodystansowcy, którzy obok 17 tysięcy zawodników z całego świata, w tym ponad 200 z Polski pokonują trasę maratonu Zurich Marató Barcelona, Trasa maratonu przebiegała przez najpiękniejsze i najbardziej znane miejsca Barcelony. Mimo wysokiej temperatury, palącego słońca i pagórkowatej trasy wszyscy osiągają rekordy życiowe (wszystkie czasy poniżej 4 godzin, najlepszy 3:40:13).



Bieg firmowy.

W czerwcu „żelazna trójka", czyli Agnieszka Październiak, Zbyszek Kubowicz i Bogdan Michajluk stanęła na starcie ultramaratonu Rzeźnik. Było to nie lada wyzwanie – 78 km po Bieszczadach, przy przewyższeniach ponad 3500 metrów, z limitem czasu 16 godzin. Było ciężko, ciężej nawet niż się spodziewaliśmy, ale udało się im. Wystartowali o 3.30 z Komańczy, a na metę w Ustrzykach Górnych dotarli przed upływem 15 godzin. Satysfakcji i męskiej radości nie mącił nawet fakt, iż Agnieszka wyprzedziła ich o prawie 10 min. Tuż za metą wszyscy zgodnie stwierdzają, że… już nigdy więcej. W tym postanowieniu nie wytrwają długo, bo już następnego dnia zastanawiają się jedynie nad tym czy „poprawić" Rzeźnika czy szukać nowego wyzwania (może Bieg Granią Tatr).

Drugim biegiem, w którym wzięliśmy udział był VI Międzynarodowy Bieg Górski Limanowa Forrest. Bieg odbył się 6 lipca, a w jego ramach rozegrano Otwarte Mistrzostwa Służb Mundurowych w Biegu Górskim. Naszą izbę reprezentowało 5 osób. Oprócz wyżej wymienionej trójki w biegu wzięły udział jeszcze Małgorzata Laskowska i Barbara Kwiecień. Trasa nie była łatwa, mimo, że do przebiegnięcia było „tylko" 7 km, ale za to w górzystym terenie i przy upalnej pogodzie. Godnie reprezentowaliśmy naszą izbę, wyróżnialiśmy się ładnymi, jednolitymi strojami a zajęte przez naszą niedoświadczoną ekipę miejsca w środku stawki, nie przynoszą nam wstydu. Na szczególne wyróżnienie zasługują koleżanki Małgosia i Basia. Dziewczyny biegają od około 3 miesięcy a pokonały trasę w dobrym czasie i ukończyły bieg w dobrej kondycji i jeszcze lepszych humorach. Już na mecie zapowiedziały, że nie jest to ich ostatni bieg.

Jednak nie wyniki i medale są najważniejsze. Fakt, że motywacja do udziału w zawodach w poszczególnych konkurencjach i rywalizacja sportowa nie pozwalają nam zgnuśnieć powoduje, że wszystkim, którzy poprzez swoją aktywność dbają o tężyznę fizyczną należą się słowa uznania.

podkom. Arkadiusz Barędziak
Izba Celna we Wrocławiu

Tour de Jeziorak – celniczy rajd rowerowy

Rok temu w czerwcu pojechali po raz pierwszy, w tym roku powtórzyli – Rowerowy Rajd Dookoła Jezioraka zaczyna zasługiwać na miano „tradycyjnego".

Jeziorak to jezioro rynnowe, najdłuższe naturalne jezioro w Polsce, największe na Pojezierzu Iławskim i trzecie po Śniardwach i Mamrach w "Krainie Tysiąca Jezior". Stanowi część szlaku Kanału Elbląskiego. Ma on bogatą linię brzegową, otoczony jest pięknymi lasami. Porastające brzeg lasy wraz z okolicznymi jeziorami tworzą Park Krajobrazowy Pojezierza Iławskiego. Poprzez cieśniny lub krótkie naturalne cieki ma połączenie z jeziorami: Płaskim, Ewingi, Łabędź, Rucewo Wielkie, Rucewo Małe, Iławskie i Dauby. Na jeziorze znajduje się aż 16 wysp. Na Wielkiej Żuławie – największej wyspie śródlądowej w Europie, znajdują się pozostałości wczesnośredniowiecznego grodu.

Organizatorami wypraw dookoła tego akwenu są funkcjonariusze z Oddziału Celnego w Iławie. Trasa rozpoczyna się spod Ratusza Urzędu Miasta w Iławie, i biegnie malowniczymi drogami i dróżkami przez Szałkowo, Makowo, Karnity, Gobławki, Jerzwałd, Siemiany, Gardzień.

W obecnej edycji imprezy udział wzięło 27 rowerzystów, którzy przejechali 75 km. Meta rajdu znajdowała się w ośrodku agroturystycznym w Gardzieniu, Wszyscy do celu dotarli w znakomitej kondycji a odpoczywano przy serwowanym przez gospodarza żurku i grillowanej karkówce. Organizatorzy już zapraszają na kolejną edycję imprezy – w czerwcu 2015.



Uczestnicy rajdu

podkom. Ryszard Chudy
Izba Celna w Olsztynie

Nasi najlepsi – celnicy „rządzą" w Braniewie

Spośród 10 drużyn uczestniczących w turnieju rozegranym w Braniewie z okazji Święta Policji bezapelacyjnie najlepsi okazali się piłkarze reprezentujący Izbę Celną w Olsztynie. Wygrali wszystkie mecze.

Zawody rozegrano 19 i 20 lipca br. Jak co roku, zorganizowała Komenda Powiatowa Policji w Braniewie. To element obchodów święta tej formacji.

Już w ubiegłym roku celnicy reprezentujący olsztyńską IC zagrali bardzo dobrze. Nasi zawodnicy wygrywali wszystkie mecze aż do spotkania finałowego. W potyczce decydującej o tym, kto wygra turniej celnicy ulegli bardzo dobrze przygotowanej do zawodów drużynie zakładu karnego 1:3. W tym pojawiła się okazja na rewanż.

Zespoły podzielono na 2 grupy. Nasi swoją pewnie wygrali, po drodze „odprawiając z kwitkiem" m.in. reprezentację Poczty w stosunku bramek 7 : 1. W półfinale także zaprezentowali pokaz siły aplikując gospodarzom turnieju KPP Braniewo 8 bramek, przy 2 straconych. W finale spotkali się natomiast z reprezentacją Zakładu Karnego.

Tak na stronie internetowej gazety „Braniewiak" zrelacjonowano ten mecz:

„Mecz o pierwsze miejsce rozpoczął się od udanej akcji Łukasza Wolaka z Michałem Machałą. W jej wyniku ten drugi z bliska pokonał bramkarza ZK Roberta Araszkiewicza. Na 2:0 podwyższył Wolak i jak się później okazało tym golem ustalił wynik meczu, a jego bramka była trzynastą w turnieju w jego wykonaniu. Z taką ilością goli piłkarz Barkasa Tolkmicko został królem strzelców, a dzielnie sekundował mu w tej rywalizacji Michał Machała – autor 9 bramek".



Nasza drużyna

Nasza drużyna, składała się z funkcjonariuszy na co dzień pracujących w Grzechotkach, Gronowie i ZP i zagrała w następującym składzie:
Łukasz Zygo (Oddział Celny w Grzechotkach)
Kamil Magdziarczyk (Oddział Celny w Grzechotkach)
Wojciech Gawryś (Oddział Celny w Grzechotkach)
Krzysztof Rysik (Oddział Celny w Grzechotkach)
Łukasz Wolak (Graniczny Referat Zwalczania Przestępczości w Grzechotkach)
Michał Machała (Graniczny Referat Zwalczania Przestępczości w Grzechotkach)
Adam Kochanowski (Oddział Celny w Gronowie)
Krystian Balcerzak (Oddział Celny w Gronowie)

podkom. Ryszard Chudy
Izba Celna w Olsztynie

Enea POZnań Triathlon

Statystyki mówią, że około 7% maratończyków zaczyna swoją przygodę z triathlonem i ja postanowiłem pójść w ich ślady. Na początek dystans krótki. Razem z 1240 zawodnikami, na czele z mistrzem świata w tej dyscyplinie Australijczykiem Chrisem McCormackiem, 25 lipca 2014r. stanąłem na starcie Enea Tri Tour Triathlon Poznań na dystansie 950m – pływanie, 45 km- jazda rowerem, 10,55km – bieg.



Zakończenie pierwszego etapu – przepłynięcie 950 m

Taktykę ustaliłem bardzo prostą – po pierwsze wyjść z wody, po drugie atakować na rowerze i po trzecie utrzymać w czasie biegu wypracowaną pozycję.

Oto jak przebiegała realizacja tego planu.

Pierwsze, pływanie na torach regatowych Malta. Start z wody ze startu wspólnego w trzech grupach w odstępach 10 minutowych. Dopływam do linii startu, wszędzie żółte czepki, na horyzoncie dwie boje sponsora i woda, dużo wody. Wystrzał z armaty i zaczęło się. Płynę w grupie drugiej bardzo ostrożnie po zewnętrznym torze (legendarne opowieści o rozbitych nosach, podtopieniach przy pływaniu w takim tłumie zrobiły swoje). Napływam na pierwszą boję orientuję się, że nie jest tak tragicznie jak się spodziewałem, dlatego postanawiam przyspieszyć zmniejszyć stratę do czołówki i płynąć najkrótszym torem do brzegu. Około 100 metrów przed metą doganiają mnie najlepsi pływacy z trzeciej tury i dosłownie przepływają po mnie, najpierw jeden i od razu po nim drugi, przy czym ten drugi odbił się mocno stopą od mojej głowy. Idę pod wodę przy okazji smakuję maltańskiej wody (na szczęście I klasa czystości). Wynurzam się. Muszę przejść do stylu klasycznego i chwilę mi zajmuje zanim wyrównam oddech. Dalej płynę mocno na trzy oddechy. Jest upragniony pomost, ktoś mi pomaga wyjść z wody.

Teraz biegiem do strefy zmian tam kask, buty, rower i na linię startu. Szczęśliwie ruszam bez opóźnienia 20 km do Swarzędza nawrót i z powrotem. Trasa idealna, równy asfalt do dyspozycji dwa pasy w każdą stronę. W mieście torowiska zaklejone specjalną masą, jedzie się jak po maśle. Jest jednak utrudnienie zakaz draftingu, co oznacza, że nie można „jechać na kole" trzeba zachować odstępy minimum 10 metrów. Staram się trzymać równe tempo 34 km/h i wyprzedzam kolejnych zawodników. Ostry zakręt i nawrót, dostrzegam przy bufecie na asfalcie plątaninę rowerów i zawodników – to kraksa omijam ją szerokim łukiem. Mam na szczęście swój żel i wodę. Pędzę. Jest lekko z górki, na blacie trzymam 40km/h. Jest dobrze „noga podaje" mijam kolejnych zawodników. Wpadam w małej grupie do Poznania, trzy duże skrzyżowania i z powrotem na Maltę. Hamuję idealnie na linii oddzielającej strefę roweru od biegu. Teraz jeszcze ok. 100 metrów przez strefę zmian do mojego stanowiska. Jestem dosłownie 3 metry od swojego boksu, rozpinam kask, zauważa to sędzia podchodzi do mnie i dostaję karę 15 sekund. Muszę stać jak słup soli i odliczać, bo inaczej grozi mi żółta kartka. 15 sekund w tej chwili wydaje się wiecznością.

Nareszcie ruszam na trasę. Dwa okrążenia wokół Malty, a tam po drugiej stronie rozgrywa się pasjonujący finisz niczym z bieżni sprinterskiej. Polak Dariusz Kowalski wyprzedza dosłownie o metr australijskiego mistrza świata i wygrywa. Upał, żar się leje z nieba, biegniemy w pełnym słońcu dwa okrążenia wokół Malty. Trzy kurtyny wodne pomagają, ale na krótko. Na drugim okrążeniu postanawiam przyspieszyć. Doganiam zawodnika - kategoria wiekowa 60+, jest więc dodatkowa motywacja skoro on może. Ktoś mi krzyczy *„siła, siła Piotr już niedaleko"*. Wreszcie finisz za 100 m, spiker mówi: uśmiechnij się będzie ładne zdjęcie. Wpadam na metę z grymasem bólu na twarzy. Czas 2 godziny 52 minuty. Potem już tylko pamiątkowy medal z rąk Prezydenta R. Grobelnego, łzy wzruszenia żony i córki i kojąca kąpiel w basenie z lodem.

Teraz pozostał do rozstrzygnięcia dylemat czy poprawiać czas w przyszłym roku na krótkim dystansie czy też może próbować na długim. Jedno jest pewne – wrócę tu na pewno.

asp. Piotr Kroczak
Urząd Celny w Opolu

Gwatemala – kraj wiecznej wiosny

Zaplanowanie udanego urlopu przypomina przepis na przygotowanie ulubionego drinka. Wymieszanie niezbędnych składników w odpowiednich proporcjach, ozdobienie ekstra dodatkami i znalezienie fajnego „lokalu", gdzie można takiego wakacyjnego drinka skosztować w korzystnej, najlepiej promocyjnej cenie.

Z grupą znajomych, z którą podróżuję po świecie już od ponad dziesięciu lat, mamy swój przepis na idealne wakacje. Nieodzowna jest jakaś akcja górska, im bardziej wymagająca tym lepiej. Kolejny składnik to typowe turystyczne zwiedzanie, chociaż często poza utartymi szlakami oraz poznawanie bardzo szeroko rozumianej kultury danego miejsca. Ostatnim obowiązkowym elementem jest zagwarantowanie krótkiego czasu na totalne leniuchowanie, najlepiej nad ciepłym morzem. Kierując się wspomnianymi zasadami pozostaje tylko wybór miejsca „konsumpcji".

W tym roku w efekcie czujnego śledzenia wszelkich promocji lotniczych wybór padł, zupełnie nieoczekiwanie, na Gwatemalę. Ten niewielki kraj w Ameryce Środkowej nie ma zbyt dobrej opinii z punktu widzenia bezpieczeństwa, ale ma masę atrakcji dla turystów mniej lub bardziej wykwalifikowanych. Należą do nich m.in. dziesiątki wulkanów, w tym kilka aktywnych, malownicze jeziora powulkaniczne, niezwykłe bogactwo przyrody nie tylko w dżungli w głębi kraju, ale także na wybrzeżach Pacyfiku i Morza Karaibskiego czy wreszcie monumentalne zabytki kultury Majów, którzy niegdyś niepodzielnie rządzili w tej części świata.

Nasz ambitny plan zakładał, że w ramach akcji górskiej wejdziemy na kilka wulkanów, w tym na najwyższy szczyt Ameryki Centralnej – *Tajumulco* (4.220 metrów n.p.m.), następnie kilkudniowy trekking przez górskie tereny zamieszkałe przez rdzenne plemiona, pobyt nad malowniczym jeziorem *Atitlán*, podróż na wybrzeże Oceanu Spokojnego, nurkowanie w Morzu Karaibskim oraz wizytę w *Tikal*, starożytnym kompleksie budowli Majów.

Jak większość turystów, zaczęliśmy naszą przygodę z Gwatemalą od miasteczka Antiqua, położonego w odległości około 30 km od stolicy głównego centrum turystycznego kraju.

Antiqua położona na wysokości ponad tysiąca pięciuset metrów n.p.m., została założona w 1543 roku przez Hiszpanów i była stolicą hiszpańskich kolonii w Ameryce Środkowej nosząc dumną nazwę *„Najbardziej Zaszczytne i Najwierniejsze Miasto Świętego Jakuba od Rycerzy Gwatemali"*. Była obok Limy i miasta Meksyk jednym z najwspanialszych miast kolonialnej Hiszpanii. Okres świetności zakończył się gwałtownie w roku 1773, kiedy dwa gwałtowne trzęsienia ziemi praktycznie zniszczyły miasto. Nową stolicę kolonii postanowiono wybudować w bezpieczniejszym miejscu i w ten sposób powstało miasto Gwatemala. Natomiast Antiqua, choć w końcu podniosła się ze zniszczeń, nigdy już nie odzyskała dawnego znaczenia.

Urocza starówka, gdzie bez trudu znajdziemy ruiny budowli po niszczycielskim trzęsieniu ziemi oraz wiele zabytków w stylu kolonialnego baroku z XVII i XVIII wieku, jest obecnie sercem życia towarzyskiego turystów. Jest tu mnóstwo hoteli, hosteli, restauracji, pubów, kawiarni, sklepów z lokalnym rzemiosłem, galerii sztuki i szkół języka hiszpańskiego. Ceny z pewnością nie na kieszeń przeciętnego gwatemalczyka, ale dla turystów z USA, Kanady, Australii czy krajów strefy euro są bardzo atrakcyjne. Jednak to pocztówkowo piękne miejsce nie ma wiele wspólnego z rzeczywistymi realiami życia w tym kraju.



Antiqua – katedra

Niezwykła malowniczości miasteczka wynika również z jego położenia między trzema wulkanami. Na południu jest to *Aqua* (3.766 metrów n.p.m.), natomiast na zachodzie znajdują się *Acatenango* (3.976 metrów n.p.m.) oraz aktywny *Fuego* (3.763 metrów n.p.m.). W mieście jest bardzo dużo agencji turystycznych organizujących wejścia na *Aqua* i *Acatenango*. Może to być jednodniowa wycieczka lub wyprawa z noclegiem pod wierzchołkiem i wejściem na szczyt o zachodzie lub wschodzie słońca.

My jednak decydujemy się, że w ramach górskiej rozgrzewki odwiedzimy wulkan *Pacaya* (2.250 metrów n.p.m.) oddalony o kilkanaście kilometrów od Antiqua. Wulkan jest bardzo aktywny i wejście na jego wierzchołek w czasie naszego pobytu było zamknięte. Mimo tego możliwość obserwacji po raz pierwszy w życiu czynnego wulkanu była sporą frajdą, a pieczone nad wulkaniczną lawą polskie kiełbaski smakowały znakomicie.

Po trzydniowej aklimatyzacji postanawiamy przystąpić do realizacji najbardziej ambitnego celu wyjazdu – zdobycia *Tajumulco*. Bazą wypadową do operacji górskich w Gwatemali jest położone w Kordylierach miasto Quetzaltenango, które zgodnie z tutejszym zwyczajem skracania długich nazw nazywane jest po prostu Xela. Jego historia sięga XIV wieku, kiedy zostało założone przez Majów z plemienia *Quiché*. W roku 1542 zdobył je hiszpański konkwistador Pedro de Alvarado, który jak głosi legenda zabił w pojedynku ostatniego króla władającego miastem. Charakterystyczną cechą Xeli są ustawione w parku centralnym greckie kolumny, które mają reprezentować kul-

turowe znaczenie miasta. Kolumny to niejedyny grecki akcent w tym miejscu. Wiele budynków w historycznym centrum ma charakter antyczny, a intrygującą ciekawostką jest Świątynia Minerwy.



Jezioro Atitlan.

Teoretycznie samodzielne wejście na wulkan *Tajumulco* jest możliwe. Jednak biorąc pod uwagę względy bezpieczeństwa i logistyki lepiej skorzystać z usług wyspecjalizowanej agencji. Jest ich w Xeli sporo i można bez problemu znaleźć odpowiednią dla naszych potrzeb oraz budżetu. Po konsultacjach decydujemy się na wyprawę w wariancie jednodniowym: wyjazd o godzinie piątej rano, przewidywany powrót około dwudziestej pierwszej. *Tajumulco* leży na uboczu, prawie pod granicą z Meksykiem i dostanie się tam wymaga pokonania sporej odległości. W poniedziałek przed świtem jesteśmy na dworcu autobusowym. Przed nami jedna z tych rzeczy, którą przewodniki określają, jako obowiązkowy punkt pobytu w Gwatemali – przejażdżka *chickenbusem*.

Chickenbusy to stare amerykańskie autobusy szkolne, wykorzystywane obecnie w krajach Ameryki Środkowej, jako środki komunikacji publicznej. Duża mobilność miejscowej ludności sprawia, że najczęściej autobusy są zapchane do granic możliwości. Podróżowałem już komunikacją publiczną w kilku ludnych miejscach świata, ale tutaj jest to naprawdę mocna rzecz. Umiejętność znalezienia przez miejscowych najmniejszego skrawka przestrzeni do przycupnięcia jest wprost niesamowita. W miejscu gdzie siedziałem zmieściły się jeszcze trzy osoby. Podobnie jak w większości niezbyt zamożnych krajów, jeżeli na trasie autobusu jest chętny do podróży nie ma możliwości żeby się nie zabrał. W efekcie zapchany do granic możliwości autobus wchłania kolejnych podróżnych na trasie. Najbardziej zadziwiające jest, że między tymi ściśniętymi jak śledzie w puszce ludźmi sprawnie przemieszcza się „konduktor" sprzedając bilety.



San Pedro de Laguna nad jeziorem Atitlan

Po prawie trzech godzinach jazdy stajemy przed zardzewiałą tablicą informującą, że wkraczamy na obszar ochrony fauny i flory *Tajumulco*. Mamy około ośmiu godzin na wejście i powrót, bo ostatni autobus odjeżdża mniej więcej o siedemnastej. Chodzenie po wulkanach ma swoja specyfikę. Przeważnie nie ma tu miejsca na powolne i łagodne zdobywanie wysokości. Na początku jest równo albo bardzo delikatnie pod górkę i nagle podejście nawet pod kątem 30-45 stopni. Podobnie było w tym przypadku. Długie, ale niezbyt wyczerpujące podejście, a w końcówce ostro do góry. Momentami przy podejściu trzeba było pomagać sobie rękami. Pogoda nie ułatwiała zadania, palące słońce i żadnej chmurki na niebie. W końcu po prawie pięciu godzinach znaleźliśmy się na szczycie najwyższej góry Ameryki Środkowej.

Kolejnym etapem naszej wyprawy była miejscowość Panajachel nad jeziorem *Atitlán*. Niewielka majańska wioska stała się na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat modnym kurortem dla uciekających od trudów codziennego życia ekspatów z USA i Europy. Baza turystyczna w Panajachel jest bardzo dobrze rozwinięta i łatwo można znaleźć coś na każdą kieszeń, ale jeśli ktoś szuka ciszy i spokoju powinien wybrać raczej jedną z kilku małych wiosek rozsianych wokół jeziora.

Jezioro *Atitlán* jest magnesem ściągającym turystów i podróżników z całego świata. To najgłębsze jezioro Ameryki Środkowej położone u podnóża trzech wulkanów: *San Pedro*, *Tolimán* i *Atitlán* jest nazywane najpiękniejszym na świecie. Jest tu spore pole do polemiki, ale trzeba przyznać, że robi ono duże wrażenie. Szczególnie, gdy podziwiamy panoramę z wulkanu *San Pedro* (3.020 metrów n.p.m.), którego zdobycie było ostatnim elementem tej części naszych wakacji.

Po kilku dniach fetowania naszych osiągnięć górskich, do czego Panujące z racji położenia i rozbudowanej infrastruktury rozrywkowej jest bardzo dobrym miejscem, ruszyliśmy realizować kolejne punkty naszego planu.

Leżące nad Pacyfikiem Monterrico wchodzi w skład *Biotopo Monterrico-Hawaii,* chronionego obszaru wybrzeża oraz przybrzeżnych bagien i lasów mangrowych. Tutejszą główną atrakcją są miejsca lęgowe żółwi. Niestety, jesteśmy trochę za późno, sezon składania jaj kończy się w grudniu. Decydujemy się jednak na wycieczkę na mangrowe bagna. Kilkugodzinna wyprawa wiosłową łodzią po kanałach i lagunach pozwala

zaobserwować wiele gatunków żyjących na tym obszarze ptaków i zwierząt.

W tym miejscu wybrzeże Pacyfiku pokryte jest czarnym, wulkanicznym piaskiem, który wciska się dosłownie wszędzie i niestety bardzo brudzi. Silne prądy i bardzo duże fale nakazują dużą ostrożność przy kąpielach w morzu, ale warunki do uprawiania surfingu są wyśmienite.

Następnie, zgodnie z założonym rozkładem przyszła pora na zapoznanie się z kulturą Majów. W tym celu przemieszczamy się znad Oceanu Spokojnego do miasteczka Flores w stanie *Petén*. Ten stan zajmuje 30% powierzchni Gwatemali, ale żyje w nim jedynie około 3% populacji całego kraju. Większość jego obszaru zajmują tropikalne lasy deszczowe i bagna. To tu znajdują się widowiskowe ruiny starożytnej metropolii Majów w *Tikal* czy imponujące piramidy schodkowe w *Yaxhá*.

Dojazd do *Petén* nie jest prosty. Pół dnia zajmuje nam dotarcie do stolicy kraju skąd mamy nocny autobus do Flores. Dworzec autobusowy, na którym spędzamy ponad dwie godziny w oczekiwaniu na odjazd znajduje się w I-szej Dzielnicy. Jest ona uznawana za jedną z najbardziej niebezpiecznych w mieście. Rzeczywiście widok policjantów z bronią maszynową stojących na każdym rogu ulicy sprawia, że człowiek zastanawia się nad kwestią swojego bezpieczeństwa. Wyjeżdżamy ze stolicy po godzinie dwudziestej drugiej. Przejazd ulicami robi przygnębiające wrażenie. Niektóre dzielnice robią wrażenie wymarłych. Przemykający pojedynczy ludzie, z tylko nielicznych zabitych stalowymi okiennicami okien przebija się zapalone światło. Zamknięte na głucho są nawet stacje benzynowe znanych światowych sieci. Ale są też miejsca, gdzie toczy się inne życie. Nowoczesne wieżowce z ekskluzywnymi hotelami, podświetlone pomniki i fontanny, na ulicach luksusowe samochody. Mimo późnej pory otwarte centra handlowe, sklepy, knajpy, uliczne stragany z jedzeniem, wokół których gromadzą się rodziny z dziećmi. Jedna ogromna metropolia o wielu różnych obliczach.

Następnego dnia rano jesteśmy we Flores. Miasteczko położone jest na wyspie na jeziorze *Petén Itza*. Wyspa jest niewielka, można ją obejść w ciągu godziny zatrzymując się po drodze na posiłek. Szybko znajdujemy bardzo fajny hotel, gdzie za pokój z widokiem na jezioro płacimy nieduże pieniądze.

Tikal leży około 70 kilometrów od Flores, w środku tropikalnego lasu. Można się tam bez problemu dostać korzystając z komunikacji publicznej lub prywatnej. Mieliśmy szczęście, ponieważ w naszym busie spotkaliśmy bardzo sympatyczną dziewczynę z Polski, która okazała się doktorantką w dziedzinie historii Majów. W ramach zbierania materiałów do pracy doktorskiej przyjechała na wykopaliska do Meksyku, ale przedtem postanowiła spędzić trochę czasu w Gwatemali. Dzięki niej zwiedzanie metropolii Majów, nie było tylko oglądaniem kamiennych budowli.

Odkryte dotychczas ruiny zajmują obszar około 60 km kwadratowych, natomiast powierzchnia całego miasta liczyła ponad 125 km kw. Szacuje się, że prace archeologiczne potrwają na tym terenie jeszcze przez co najmniej dwadzieścia lat. Dawna stolica Majów została założona w III wieku, a okres jej największej świetności przypadał na VII-VIII wiek. Miasto zostało opuszczone w IX wieku, a jego ruiny zostały odkryte przez hiszpańskich misjonarzy dopiero w XVII wieku. Od lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia prowadzone są systematyczne wykopaliska, w których brali udział również polscy archeolodzy. Obecnie turyści mogą zobaczyć między innymi sześć piramid schodkowych z wzniesionymi na nich świątyniami. Najwyższa z nich, oznaczona numerem IV ma 65 metrów wysokości i jest udostępniona dla zwiedzających. Panorama, jaka rozpościera się z punktu widokowego robi wrażenie. Aż po horyzont morze zielonej dżungli i tylko miejscami wynurzają się wierzchołki innych świątyń i budowli Majów. Sporo ludzi zjawia się w tym miejscu, żeby podziwiać wschody i zachody słońca, wiąże się to jednak z podwójną opłatą za bilet wstępu.



Tikal – Gran Plaza

Wizyta w *Tikal* kończy wyczynowo-poznawczą część naszej ekspedycji. Na koniec zostawiamy sobie kilka dni na relaks nad Morzem Karaibskim. Kierujemy się do Livingstone, portu położonego u ujścia rzeki *Rio Dulce*. Żeby się tam dostać trzeba przepłynąć m.in. przez malownicze jezioro *El Golfete*. Podróż szybką łodzią trwa około dwóch godzin.

Gwatemalskie wybrzeże Morza Karaibskiego zamieszkuje, oprócz potomków Majów i europejskich osadników, lud *Garifuna*.

Garifuna, czyli „Czarni Karibowie" to grupa etniczna będąca potomkami lokalnych plemion Karibów, Arawaków i afrykańskich niewolników sprowadzanych do pracy na plantacjach. Posługują się własnym językiem garifuna, który jest mieszanką angielskiego, hiszpańskiego i lokalnych dialektów. Ich odrębność przejawia się także w muzyce, całkowicie odmiennej od tradycyjnej muzyki gwatemalskiej. Na swoisty styl i podejście do życia ludzi *Garifuna* ma zapewne wpływ silny tutaj ruch rasta oraz powszechne palenie *świętego ziela*.

Ostatnie dni przed powrotem do kraju spędzamy pływając i nurkując w tropikalnym morzu, leniwie popijając na plaży wyborne *coco loco* oraz snując plany o następnym „lokalu" na wakacyjnego drinka.

st. asp. Mariusz Łepkowski
Izba Celna w Białymstoku

Lwów

Nikogo nie trzeba przekonywać, że Lwów to piękne i pełne uroku miasto. Ten, kto choć raz odwiedził to pełne kultury i zabytków miasto powraca by pobyć, poznać, zobaczyć więcej. Nie inaczej jest z podkarpackimi funkcjonariuszami Służby Celnej, którzy cyklicznie organizują wycieczki do Lwowa, a to z okazji Święta Czekolady, Miejskiego Festiwalu Kawy czy przed Świętem Zmarłych, aby uczcić pamięć poległych za Ojczyznę. Poniżej relacje z takich właśnie wyjazdów.



Lwowski Narodowy Akademicki Teatr Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej, teatr we Lwowie zaprojektowany przez prof. Zygmunta Gorgolewskiego

Święto czekolady we Lwowie stało się już tradycyjnym miejskim świętem, na które zaprasza swoich mieszkańców oraz turystów. 16 lutego 2013 r. ze słodkiego zaproszenia skorzystali przemyscy funkcjonariusze celni.Ubiegłoroczna VI edycja „Święta Czekolady" odbyła się we lwowskim Pałacu Sztuki. Na pierwszym piętrze pałacu ulokowała się „Czekoladowa poczta Switocz". Każdy z gości Święta Czekolady miał możliwość wysłania widokówki do bliskiej osoby w dowolny koniec świata. Pocztówka „From Lviv with Love" była też okazją do promocji Lwowa, jako bajecznej kolebki kultury. Pozostałe dwa piętra gmachu zajmował „Jarmark św. Walentego", na którym znaleźć można było trufle, torty, ciasteczka, lizaki, owocowo-czekoladowe rzeźby a nawet fontanny z gorącą czekoladą! Degustacjom nie było końca, ponieważ o oprawę święta zadbali najwięksi producenci czekolady oraz właściciele kawiarni i restauracji z całego miasta.



Podkarpaccy celnicy zwiedzili stadion ARENA LWÓW, na którym rozgrywany był turniej UEFA EURO 2012

Słodkiemu łakomstwu towarzyszyły występy lokalnych muzyków oraz aktorów z krakowskiego teatru „Wagabunda". Każdy, kto odwiedził Pałac Sztuki, mógł spróbować najlepszych i urozmaiconych czekoladowych słodyczy, a także przekonać się, że czekolada we Lwowie to nie tylko czekolada, ale prawdziwe dzieło sztuki. Lwowscy Mistrzowie Czekolady przekształcali ją na bajeczne figurki, postacie, obrazy a nawet miniaturowe budowle. Po degustacji czekolady nie zabrakło również czasu na zwiedzanie urokliwego miasta. Chwilę wytchnienia po spacerze po lwowskich zaułkach przyniósł czas wolny, w trakcie, którego, w miłej atmosferze w Kopalni Kawy uczestnicy wycieczki mogli skosztować specjalnie parzonej i podanej regionalnej kawy.

Kilka miesięcy później podkarpaccy celnicy wraz z przedstawicielami Ministerstwa Finansów wybrali się na siódmy Miejski Festiwal Kawy we Lwowie. Uczestnicy ubiegłorocznej jesiennej wycieczki do Lwowa mogli poznać ofertę lwowskich kawiarni*, które zaprezentowały się na zabytkowym lwowskim rynku.

Oprócz degustacji kawowych specjałów, uczestnicy wycieczki zwiedzili miasto i zapoznali się z wielonarodową historią Królewskiego Lwowa. Po wyczerpującej wycieczce ulicami starego miasta uczestnicy raczyli się parzoną na wiele sposobów kawą, słodkościami i czekoladą. Zapoznali się także z ciekawą ofertą stylowych i niepowtarzalnych lwowskich lokali takich jak Gazowa Lampa, Kopalnia Kawy czy Dom Legend. Ich ilość przysparza o zawrót głowy turystów przybywających do tego miasta. Wspaniała atmosfera a także piękno samego miasta to główne powody spontanicznej decyzji, by niebawem znów odwiedzić Lwów.

Tak też się stało, już w październiku podkarpaccy celnicy po raz kolejny wybrali się do gościnnego Lwowa. Pierwszym punktem wycieczki było zwiedzanie „ARENY LWÓW", czyli miejsca gdzie prowadzone były zmagania piłkarzy w ramach turnieju UEFA EURO 2012. Atmosfera miejsca a także rozmach budowli pozostawił na wszystkich uczestnikach wycieczki duże wrażenie.

W klimat zadumy i kontemplacji uczestników wycieczki wprowadziła wizyta na Cmentarzu Łyczakowskim, w trakcie, której zostały złożone kwiaty i zapalone znicze na płycie upamiętniającej walczące Orlęta Lwowskie. Ta symboliczna wizyta staje się już tradycją Urzędu Celnego w Przemyślu, aby w okolicach Święta Zmarłych uczcić pamięć poległych za Ojczyznę.

Następnym, celem wycieczki było uczestnictwo w festiwalu sera i wina, który odbywał się na placu przed zabytkowym

Pałacem Potockich. Pozostały czas, uczestnicy przeznaczyli na indywidualne zwiedzanie Lwowa a także udział w przedstawieniu Opery Lwowskiej „Traviata".

podkom. Maciej Andruszkiewicz
st.rew. Małgorzata Zielska
Izba Celna w Przemyślu



Uczestnicy ubiegłorocznej wycieczki do Lwowa, zorganizowanej w ramach centralnych obchodów święta Służby Celnej

* Za ojca środkowoeuropejskich kawiarni uważa się Jerzego Kulczyckiego urodzonego w Samborze a więc na terenie dawnego Województwa Ruskiego, którego Lwów był stolicą. Będąc uczestnikiem odsieczy wiedeńskiej za swoje bohaterskie czyny Król Jan III Sobieski pozwolił mu wybrać, jako nagrodę dowolną rzecz z obozu pokonanego nieprzyjaciela. Zadziwiając wszystkich Kulczycki wybrał 300 worków z dziwnym ziarnem, które zwycięzcy chcieli wyrzucić biorąc za karmę dla wielbłądów, które okazały się zapasem kawy. Powszechnie przypisuje mu się otwarcie pierwszej w Wiedniu – i jednej z pierwszych w Europie – kawiarni znanej, jako „Dom Pod Błękitną Butelką". Przypisuje mu się także pomysł mieszania kawy z mlekiem.

Zanurzona wśród lasów

Zanurzona wśród lasów, złożona z kilku rozrzuconych w sporej odległości od siebie domostw, osada Laska stała się naszą bazą wypadową podczas tegorocznego spływu kajakowego, który odbywał się w dniach 27–28 czerwca. Po przybyciu na miejsce i częściowym rozpakowaniu, autokarem dojechaliśmy do Parzyna, skąd zaczynała się pierwsza część wodnej przygody. I tu niespodzianka! Okazało się, że towarzyszyć nam będą dwaj Przewodnicy-Ratownicy. Sprawa była dość podejrzana, bowiem zmiana trasy, jaka nastąpiła niemal w przededniu wyjazdu związana rzekomo była ze stopniem trudności i miała być łatwiejsza z uwagi na znaczną ilość dzieci i młodzieży, która towarzyszyła swoim Rodzicom. Krótki instruktaż, kurs pływania na sucho i na wodę… rzeki Zbrzyca. Za pierwszym zakrętem pojawiły się drobne niedogodności w postaci przeszkód i znacznych zwężeń, a chwilę później ilość wody w rzece okazała się tak mała, że większość z nas zmuszona została do ciągnięcia kajaków szorujących dnem o podłoże. Wraz z kolejnymi kilometrami zaczęło przybywać różnorakich atrakcji w postaci młynów, przy których koniecznym było przenoszenie sprzętu pływającego, przepustów i mostków, pod którymi niejednokrotnie trudno było się schować. Sporo było wątpliwości, w którym kierunku popłynąć, na połączeniu się Zbrzycy z rzeką Młosina. A gdy tego było komuś za mało – to wpływając na mijane jezioro Miłachowo, wśród szuwarów i ogrodów grążelowych z łatwością „mógł wybrać" okrężną drogę i opłynąć dokoła całe jezioro (co poniektórym się przydarzyło). Na szczęście na przystani w Rolbiku oczekiwał ciepły żurek, który pozwolił się wzmocnić dzielnym załogantom i z powodzeniem dotrzeć do miejsca noclegowego. Oczywiście, nie sposób pominąć jeszcze jednej atrakcji, która w zasadzie towarzyszy nam podczas każdego spływu. A jest to deszcz i burza. I tym razem również organizator zadbał o te urozmaicenia, które niestety wpłynęły na decyzję o nie wypływaniu następnego dnia. Bowiem zasadą nadrzędną, która wszystkim nam towarzyszyła, to dbałość o bezpieczeństwo. Ryzyko związane z możliwym pojawieniem



Chyba się zmieścimy



Na spływie

się burz, gdy w niedzielę mieliśmy przepłynąć wzdłuż kilka jezior, kazało zachować daleko idącą ostrożność i pozostać w miejscu biwakowania. Z nadzieją na następne spotkania na szlakach kajakowych, w imieniu uczestników wnoszę o zmianę regulaminu w części dotyczącej pogody. A tymczasem pozdrawiam, dołączając zdjęcia potwierdzające moją prawdomówność.

kom. Mirosław Mikłaszewicz
Urząd Celny w Gdańsku

Połoniny w słońcu – bieszczadzki słoneczny patrol

Wydawać by się mogło, że po dziesięciu latach wspólnych zmagań, zarówno Bieszczady jak i „zdobywcy" czy raczej właściwym określeniem powinno być „miłośnicy" Bieszczad nie zostaną niczym zaskoczeni.
Myliliśmy się.
Zarówno góry jak i uczestnicy XI Bieszczadzkiego Rajdu Pieszego Polskiej Służby Celnej „Wetlina 2013" mieli dla siebie w zanadrzu wiele niespodzianek.

Między innymi:
- piękna, słoneczna, bezwietrzna, o przejrzystej jak kryształ widoczności pogoda oraz widoki zapierające dech w piersiach
- pełni sił, zapału, energii, pasji, werwy, uroku, sił, motywacji – uczestnicy Rajdu.

No i cóż więcej było trzeba!!!!.

Jako, że były to zawody sportowe związane z turystyką, więc osoby w nich uczestniczące nie mogły być zakwaterowane w innym ośrodku, jak standardowy Dom Wycieczkowy PTTK w Wetlinie. Tam też odpoczywaliśmy po zmaganiach, z sobą i górami, tam wspólnie biesiadowaliśmy i bawiliśmy się przy oprawie muzycznej nieocenionego Waldiego.

W zmaganiach wzięło udział 130 osób.

Rywalizacja oceniana była w trzech konkurencjach. Marsz na trasach: ze starego Sioła przez Przełęcz Orłowicza do Chatki Puchatka na Połoninie Wetlińskiej i drugiego dnia Działem na Wielką Rawkę. Ponadto punktacji podlegała umiejętność trafnego strzelania, czyli „Paintball" i Mini marsz na orientację.

Duże zaangażowanie i „sportowy duch rywalizacji" nie został przez wakacyjną pogodę osłabiony, w związku, z czym ry-



Miłośnicy Bieszczad na trasie rajdu



Zapierające dech w piersiach przepiękne widoki Bieszczad

walizacja była ostra. Ostatecznie po podsumowaniu wyników wyodrębniło się grono zwycięzców.

Jak zwykle dużo emocji wzbudzało ogłoszenie wyników. Zgodnie z końcową tabelą współzawodnictwa XI Rajdu Bieszczadzkiego Pieszego „Wetlina 2013" wyniki przedstawiają się następująco:

1. Biała Podlaska I : 110 pkt
2. Poznań I : 107 pkt
3. Wrocław I: 106 pkt
4. Przemyśl I: 103 pkt
5. Katowice: 103 pkt
6. Opole II: 99 pkt
7. Olsztyn I: 97 pkt
8. Rzepin I: 96 pkt
9. Biała Podlaska II: 95 pkt
10. Opole I : 94 pkt

Poznań II: 94 pkt

Wszystkim uczestnikom Rajdu dziękujemy za mile spędzone chwile a organizatorom za wspaniałe przygotowanie tej niezapomnianej imprezy.



Na szlaku

Do zobaczenia na bieszczadzkim szlaku już niebawem!

kom. Małgorzata Czesak
Izba Celna w Przemyślu

Wspomnienia z trasy

W sobotę, 24 maja 2014 r. odbył się nasz pierwszy rajd, który wystartował w Wiśle-Czarnym w malowniczym miejscu, gdzie Biała Wisełka wpływa do jeziora Czerniańskiego.

Ilość uczestników, jak to zwykle bywa zmieniała się bardzo dynamicznie, na co wpływ miały prognozy pogodowe. Ale u nas pogoda została odpowiednio wcześniej „zamówiona" i dostarczona na czas, więc było ciepło i słonecznie. Na starcie ostatecznie zgłosiło się 48 uczestników, zgrupowanych w 10 drużyn reprezentujących izbę celną oraz podległe jednostki organizacyjne. W składzie drużyn byli również członkowie rodzin z małymi dziećmi, a nawet jeden pies.

Na odprawie organizatorzy omówili czekające atrakcje i zapowiedzieli, że na mecie zostanie rozegrany konkurs turystyczny, którego częścią składową będzie ważenie szyszek, które drużyny powinny znaleźć na trasie.

Przygotowanymi zaprzęgami konnymi dojechaliśmy drogą, wzdłuż malowniczo wijącej się Białej Wisełki, do miejsca, gdzie znakowany szlak turystyczny skręca ostro w górę. Przed nami mozolne podejście na szczyt Baraniej Góry (1220m npm) – drugiej, co do wysokości góry w paśmie Beskidu Śląskiego. Oczywiście im byliśmy wyżej, tym nasz początkowo, zwarty peleton dzielił się na coraz mniejsze grupki, które docelowo spotkały się dopiero na mecie.

Na trasie dotarliśmy do miejsca, gdzie Biała Wisełka spływa po uroczych progach skalnych nazwanych Kaskadami Rodła, a nieco wyżej przechodziliśmy blisko źródlisk królowej polskich rzek – Wisły.

SPORT I TURYSTYKA

W miarę zdobywania wysokości odsłaniały się coraz to piękniejsze widoki na okolicę. Najładniejszy, widok roztaczał się jednak z wieży widokowej zbudowanej na szczycie. Prawdziwa uczta dla oczu! Panorama obejmowała morze górskich szczytów, leżących na terenie Polski, Czech oraz Słowacji, a była zwieńczona majaczącym na horyzoncie zębatym grzebieniem Tatr, połyskującymi białymi czapami śniegu.

Po krótkim odpoczynku zielonym szlakiem poszliśmy w kierunku Magurki Wiślańskiej. Ta trasa również obfitowała w ładne panoramy, gdyż stoki Baraniej, za przyczyną żarłocznego kornika oraz wichur, są w większości pozbawione zadrzewienia. Z Magurki oraz sąsiedniej góry Gawlasi można było dostrzec dwa okoliczne jeziora zaporowe: Żywieckie na Sole oraz Czerniańskie, gdzie zbiegają się dwie Wisełki Czarna i Biała. Panorama została też uzupełniona o dodatkowy, nie do końca pożądany, element: złowrogie ciemne chmury, które zwarta masą nadchodziły od strony Skrzycznego. Przy akompaniamencie dalekich grzmotów stopniowo przyśpieszaliśmy kroku. Szczęśliwie jednak burza nas ominęła, więc nie licząc paru kropel deszczu szczęśliwie dotarliśmy do Rancza Cienków, gdzie czekała meta.

Trasa liczyła ok. 16 km i zajęła nam ok.5 godz. Górskie powietrze jak wiadomo zaostrza apetyty, więc wszyscy z apetytem spałaszowali zamówione dania góralskiej kuchni.

I w tym momencie burza do nas dotarła. Jak wiadomo ściana deszczu oglądana spod bezpiecznego dachu prezentuje się zupełnie inaczej, niż spotkana na szlaku.

Przystąpiliśmy, zatem do zapowiedzianych rozgrywek konkursowych. Konkurs turystyczny „Co wiesz o Beskidzie Śląskim i regionie" nie był cale łatwy. Należało się wykazać niemałą wiedzą z różnych dziedzin, w tym miedzy innymi znajomością miejscowej gwary.

Poziom wiedzy startujących drużyn był bardzo wyrównany, lecz ostatecznie po zaciętej walce „miejsca na podium" zajęły następujące zespoły:

I miejsce: drużyna Urszuli Źródłowskiej (60 pkt)

II miejsce: drużyna Rafała Witosa (48 pkt)

III miejsce: drużyna Anny Halat (46 pkt)

Częścią klasyfikacji punktowej była też waga znalezionej szyszki. Zwycięska drużyna przyniosła „medalową" szyszkę, która ważyła aż 82,94 gramy!

Puchary dla zwycięskich drużyn wręczył dyrektor Andrzej Szczotka, natomiast organizator rajdu Andrzej Lacel uhonorował pamiątkowymi medalami wszystkie dzieci, biorące w nim udział.

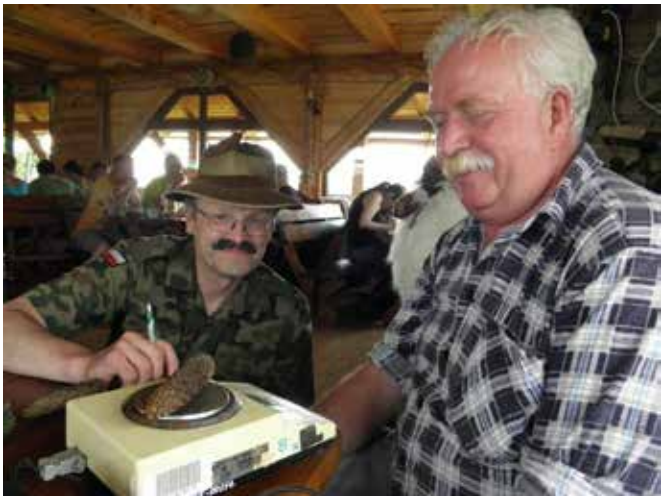
Na zakończenie uczestnicy oklaskami podziękowali organizatorom za dobrze przygotowaną imprezę a organizatorzy z kolei podziękowali za udział i koleżeńską atmosferę na trasie.

Wg zgodnej opinii pomysł organizacji takich turystyczno-rodzinnych spotkań w górach warto kontynuować.

st. asp. Zbigniew Pawlik
Izba Celna w Katowicach



Trasa była bardzo urozmaicona



Konkurs o najcięższą szyszkę



Piękne widoki i dobre towarzystwo

Narciarska przygoda w Atlasie Wysokim

W tę tak wyjątkowo mało śnieżną i ciepłą zimę wybraliśmy się w poszukiwaniu śniegu do Maroka. Tak trochę z przekory, ale przede wszystkim z zamiłowania do odwiedzania z nartami egzotycznych i niezwykłych miejsc. Pomysł wyjazdu na skitury do Maroka może wydawać się lekko fantastycznym, lecz nic bardziej mylnego. Teren ten jest już od lat odwiedzany przez skialpinistów, szczególnie francuskich. i oferuje narciarzom wysokogórskim wiele możliwości.

Nasza narciarska przygoda z Atlasem Wysokim zaczyna się w tętniącym życiem Marakeszu, mieście pełnym kontrastów. Metropolii z niezliczona ilością kramów i kramików w wąskich i brudnych uliczkach, pełnym niesamowitych zabytków i egzotycznie ubranych mieszkańców oraz wszechobecnych motorowerów. Z drugiej strony posiada on również dzielnice z wielkimi ogrodami, długimi i szerokimi alejami pełnymi drogich hoteli i banków.



Autor podczas zejścia doliną Mizane

Po nocy spędzonej w fajnym hoteliku nieopodal placu Jamaa el Fna, w centrum Marakeskiej Medyny wyruszamy taksówką w góry. Mercedes pamiętający wczesne lata siedemdziesiąte pnie się wąską górską drogą do miejscowości o nazwie Imlil, leżącej w górskiej dolinie pośród szczytów Atlasu, nieopodal masywu Jamal Toubkal. Widoki są wspaniałe, pogoda wyborna. Po około półtoragodzinnej jeździe docieramy do Imlilu. Na miejscu dopada nas natychmiast grupa lokalnych „biznesmenów" próbujących sprzedać nam swoje towary. Jest to trochę irytujące, ponieważ są oni bardzo nachalni, ale to zwykła sprawa w Maroku i trzeba się do tego po prostu przyzwyczaić. Na miejscu znajdujemy nocleg w domku z zapierającym dech widokiem, położonym o 15 min drogi w górę od Imlilu. Gospodarz, szczupły i wysoki Berber okazuje się być przewodnikiem górskim, dość dobrze mówiącym po angielsku. Okazuje się, że również chodzi na nartach skiturowych. Interesuje się naszym sprzętem, szczególne wrażenie robią na nim nasze detektory lawinowe, które w jego kraju są praktycznie niedostępne. Temperatura w naszym pokoju to przyjemne 3 stopnie na plusie, wyciągamy puchowe śpiwory i jest OK. Lecz mieszkańców życie nie rozpieszcza - muszą w takiej temperaturze w mieszkaniu przeżyć całą zimę.

Nazajutrz rano wyruszamy drogą do doliny Ait Mizane do schroniska Toubkal położonego na wysokości 3200 m n.p.m. Czeka nas pokonanie sporej odległości i 1500 m różnicy wysokości. Wszystko to z całym naszym sprzętem na plecach. Droga jest wyraźna i szeroka, mijamy wioskę Aroumnd, następnie dochodzimy do ostatniej miejscowości, leżącej na wysokości ok. 2500 m n.p.m. wioski Sidi Chamharound, gdzie zatrzymujemy się na arabską miętową herbatę. Powyżej wioski leży już śnieg, pogoda zmienia się i pierwsze płatki białego puchu zaczynają wirować w powietrzu. Na wysokości około 2700 m śniegu jest już na tyle dużo, że zapinamy narty i dalej idziemy już na fokach, śnieg pada coraz mocniej, widoczność staje się coraz gorsza, ale droga jest łatwa i nieskomplikowana. W końcu późnym popołudniem meldujemy się w schronisku. Właściwie schroniska są dwa Neltner i Mouflon. Jedne francuskie, drugie arabskie. Wybieramy to pierwsze, bo podobno tańsze i lepiej jeść dają.

Następnego dnia wyruszamy na Toubkal (4167m n.p.m.). Wybieramy klasyczną i najkrótszą drogę przez Południowe Ikhibi. Ilość śniegu nie jest oszałamiająca, trzeba szukać miejsc do późniejszego zjazdu. Po około 2 godzinach dochodzimy do rozległego kotła, skąd już dokładnie widać Tizi'n Tobkal, czyli przełęcz oddzielającą oba wierzchołki Tobkala. Biegnie tamtędy droga normalna, lecz śniegu jest tam zdecydowanie za mało na zjazd. Kierujemy się, zatem w lewo do fajnie wyśnieżonego żlebu opadającego z zachodniego ramienia Toubcala. Dalej podchodzimy tym żlebem. Janek cały czas prowadzi. Wykonywanie nawrotów w stromym żlebie na wysokości 4000m bez odpowiedniej aklimatyzacji to nie lada wyzwanie. Po jakimś czasie dochodzimy do dość ostrej grani, która z czasem rozszerza się i w końcu doprowadza nas na wierzchołek. Pogoda jest dobra, prawie brak wiatru. Siedzimy na szczycie rozkoszując się widokami, robimy zdjęcia, chmur jednak ciągle przybywa. Jest to znak, że na nas już czas. Zjazd na nartach z wierzchołka okazał się niemożliwy – zupełny brak śniegu. Narty zapinamy na wysokości ok. 4100 m n.p.m. Zjeżdżamy najpierw wzdłuż grani w lekko eksponowanym terenie, ostrożnie, ciągle szukając miejsc z odpowiednia ilością śniegu. Wreszcie docieramy do żlebu i tu już można sobie trochę poszaleć. Śnieg jest dobry, skręty wychodzą wybornie. Udaje nam się zjechać do samego schroniska z tylko jedną stumetrową przenoską nart. Warunki są zaskakująco dobre do samego dołu, jesteśmy bardzo zadowoleni.



Ekipa na szczycie Toubkala



Zjazd żlebem z Tizi n'Ouanoukrim

Następnego dnia rano za namową pracowników schroniska idziemy w górę doliny Mizane, potem kierujemy się w prawo do stromego wąwozu, który wyprowadza nas na szerokie pola śnieżne u podnóża góry o nazwie Akiud (4010m npm). Wieje bardzo silny wiatr. Kierując się warunkami śnieżnymi kierujemy się na prawo do dość szerokiego żlebu w okolicy Tizi Afella. Gdy docieramy na górę mamy już serdecznie dość wiatru. Zjazd szerokimi polami śnieżnymi jest fantastyczny. Szybko docieramy do wąwozu, który też udaje nam się pokonać bez zdejmowania nart. Wymagało to trochę wysiłku i sporych umiejętności z uwagi na brak miejsca spowodowanego niedostatkiem śniegu.

Na deser zostawiliśmy sobie miejsce gdzie jak się nam wydawało warunki były najlepsze. Następnym rankiem pniemy się od razu stromym żlebem na lewo od schroniska, który doprowadza nas do bardzo stromej doliny zakończonej żlebem opadającym z przełęczy Tizi n' Ouanoukrim (3965m npm). Cała dolina jest wprost zasypana śniegiem. Swoją drogą to trochę dziwne jak zmienne są warunki śnieżne w tych górach. Chyba to sprawka słońca, a przede wszystkim wiatru. Dolina jest dość szeroka i długa z w miarę stałym nachyleniem ok. 30 stopni, czyli idealnym do długich skrętów. Sam końcowy żleb jest wąski z niestronieniem ok. 40 stopni, czyli nic trudnego, taki nasz Zawrat.

Pogoda jest wspaniała – bezwietrznie i bezchmurnie. Zjazd jest wyborny taki w sam raz na ostatni dzień w Atlasie, idziemy z Jankiem na tzw. całość i trochę sobie szalejemy. Warunki są bardzo dobre, a jaka sceneria!

W dniu następnym pakujemy manatki i zjeżdżamy na dół, udaje się nam zjechać do wysokości około 2800m, dalej już niestety trzeba pieszo. Popołudniem docieramy do Imlilu, a wieczorem jesteśmy już w Marekeszu. Czas na następne marokańskie przygody, ale to już zupełnie inna historia.

podkom. Mariusz Lubos
Urząd Celny w Bielsku-Białej

W krainie renifera. Moja wielka... północna wycieczka

Trasa: Warszawa – Suwałki – Kowno – Ryga – Tallin – Helsinki – Lahti – Rovaniemi – szwedzkie bezdroża – Matoleino – Alta – Nordkapp – Oulu – Helsinki – Tallin – Windawa – Kłajpeda – Warszawa

Co takiego znajduje się na Nordkapp? Nic. To znaczy jest tam wysoki klif, a na jego szczycie obserwatorium meteorologiczne. Jest tam również słynny globus, przed którym ustawiają się kolejki turystów, żeby zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Ale umówmy się, są ciekawsze miejsca na ziemi. Dlaczego więc pojechałem właśnie na przylądek Nordkapp? Odpowiedź jest prosta. Nie cel jest ważny, ale droga do celu. A w tym wypadku droga była długa… Tym bardziej długa, bo należało tam dotrzeć, ale wypadało jeszcze stamtąd wrócić.

Ale od początku. Pierwotnie nie miałem zamiaru jechać tak daleko. Od wielu lat chodziło mi po głowie obejrzenie państw bałtyckich (Litwy, Łotwy i Estonii). Uznałem, że w końcu dojrzałem do realizacji tego pomysłu. Jednak nie jechałem sam. Moi dwaj synowie – to chyba ostatni wspólny wyjazd w tym składzie – chcieli czegoś więcej. Stąd zrodził się pomysł, aby obejrzeć Helsinki. A później to już samo wyszło. Postanowiliśmy dojechać do końca, a więc do miejsca, gdzie dalej się już nie da.

Aby dotrzeć na sam szczyt kontynentalnej Europy pokonaliśmy sześć granic. Można być zwolennikiem albo przeciwnikiem Unii Europejskiej, ale jedno trzeba przyznać. Okoliczność, że nie czeka się już godzinami na przejściach granicznych to niebywały komfort. Kto kiedyś czekał ten wie? Wyjątek stanowiła Norwegia. Kraj ten, choć nie leży w Unii, to jest w strefie Schengen.

Wyjazd trwał 16 dni. Jak huragan przetoczyliśmy się przez polskie drogi i wkrótce znaleźliśmy się na słynnej via baletnica prowadzącej w prawie w prostej linii od granicy polskiej aż do Tallina? Pomni na przestrogi o bezlitosnych policjantach z Litwy ustawiliśmy samochód na jednakowej prędkości 100km/h i trzymaliśmy się jej, aż do końca wyjazdu. Może było to trochę monotonne, ale przyznam, że na północy jeździ się bezpiecznie, a ruch drogowy jest cały czas płynny.

Pierwszym poważniejszym przystankiem na naszej trasie była Ryga. Duże, portowe miasto tętni życiem. Było to ostatnie tego typu miejsce. Później robiło się coraz bardziej sennie, ludności było jakby coraz mniej, a za kołem podbiegunowym ludzie w ogóle ustąpili pola reniferom. Ryga to, co innego. Łotysze mają swój własny pałac kultury, nie brakuje monumentalnych budowli. Jest także niczego sobie Stare Miasto. Na przedmieściach znajduje się miejsce historycznej bitwy pod Kircholmem, gdzie polska husaria Chodkiewicza zmiażdżyła przeważające siły szwedzkie. Obecnie znajduje się tam okolicznościowy kamień, przed którym leżą polskie wieńce.



Okolicznościowy kamień na miejscu bitwy pod Kircholmem

Mimo, że via baletnica ciągnie się w dużej mierze bezpośrednio wzdłuż morza Bałtyckiego, to tego morza jest jak na lekarstwo. Wszędzie posadzone były drzewa. Jedynie w dwóch miejscach na przestrzeni ponad 100 kilometrów zobaczyłem wodę. Wkrótce zostawiliśmy morze z lewej strony, aby znowu je ujrzeć w samym Tallinie. Stolica Estonii może się pochwalić potężnymi murami obronnymi okalającymi wcale niemałą starówkę. Dużo tam zagranicznych turystów. Całość przypomina nieco niemieckie miasteczka. Wystarczy jednak wyjść poza mury, a wszędzie widać ogromne wpływy czasów, o których miejscowi chcą szybko zapomnieć. Aby porozumieć się z Estończykiem najlepiej dużo gestykulować. Estoński jest nie do opanowania, po rosyjsku ludzie nie chcą mówić, a angielskiego jeszcze się nie nauczyli.

Kraje bałtyckie zostawiliśmy sobie jeszcze na drogę powrotną. Póki, co jakaś nieodparta siła gnała nas dalej na północ. Nie


Nasza ekipa przed katedrą w Helsinkach

chcieliśmy się zatrzymywać. W Estonii nie brakuje promów do Finlandii i mają one tę zaletę, że są dwa razy tańsze niż w drugą stronę. Zaokrętowaliśmy się na jednym z takich statków i trzy godziny później ujrzeliśmy skandynawski ląd. Pierwsze wrażenie? Mroczne. Nad Helsinkami przetoczyła się istna nawałnica deszczu. W tej scenerii olbrzymie umocnienia szwedzkiej twierdzy Suomenlinna wyglądały szczególnie okazale. Pomyślałem wtedy, że nieźle się zaczyna. Byłem przygotowany na to, że z pogodą może być różnie, ale coś takiego na wstępie?

Sieć autostrad w Finlandii nie jest dobrze rozwinięta. Po co budować coś, co jest mało przydatne. Jedyną autostradą, którą jechaliśmy był odcinek około 100 kilometrów prowadzący do Lahti. To tutaj znajdują się słynne skocznie, które pozwoliły Adamowi Małyszowi zdobyć pierwsze w życiu mistrzostwo świata. Z wierzchołka najwyższej skoczni rozlega się panorama na lasy i jeziora, których w tym kraju jest pełno. Trzeba sobie jednak jasno powiedzieć, że zwiedzanie wszelakich skoczni latem to już nie to samo, co zimą. Brakuje samej esencji – śniegu.

Im dalej na północ tym krajobraz stawał się bardziej karłowaty. Była 23, a na zewnątrz wciąż jasno. Nocowaliśmy w różnych miejscach. Niektóre campingi miały wyższy standard, inne przypominały indiańskie rezerwaty. Mieszkanie w tych ostatnich miało swój klimat. Ludzi, którzy spędzali tam noc łączyło jedno. Wszyscy bez wyjątku zdążali na samą północ. Na Nordkapp. To miejsce przyciągało nas wszystkich. Nic dziwnego. Każdy chce dotrzeć, chociaż raz do krawędzi…

Chcąc sobie urozmaicić podróż postanowiliśmy pojechać przez Szwecję. Wydawało się, że nie nadłożymy wiele drogi, a przynajmniej zaliczymy nowe państwo. Rzeczywistość przerosła nasze oczekiwania. Coś, co przypominało na mapie drogę krajową okazało się istotnie drogą… tyle, że szutrową. Nie było wyjścia. Trzeba było przejechać odcinek 50 kilometrów po szutrze. Jak nasz delikatny samochód to wytrzymał? W połowie odcinka zdarzyło się coś jeszcze. Patrzymy, a coś w oddali się wlecze wzdłuż drogi. Podjechaliśmy bliżej… i oczom nie wierzymy. Prawdziwe renifery. Przyznam, że był lekki strach przy wyprzedzaniu. A jeśli się spłoszą? Co wtedy? Na nasze szczęście nie spłoszyły się. Wkrótce okazało się, że widok reniferów wzdłuż drogi, czy nawet na jej środku nie był taki niezwykły. Dużo później natrafiliśmy na całą rodzinkę. Przewodził renifer z okazałym porożem. Sądzę, że gdyby się zdenerwował to



Narciarska skocznia w Lahti



Wysoki klif na Nordkapie – dalej już tylko ocean

nasza karoseria poszłaby w strzępy. W drodze powrotnej para reniferów przebiegła nam drogę w poprzek. Ewentualne zderzenie poczulibyśmy wszyscy.

Kiedy przekroczyliśmy granice z Norwegią krajobraz nagle zaczął się piętrzyć. Mówią, że Norwegia posiada najwięcej fiordów i wodospadów w Europie. Potwierdzam. Walorami krajobrazowymi trudno jest komukolwiek konkurować z Norwegią. Fiord w Alcie to przyrodniczy majstersztyk. Zanim jednak dotarliśmy na wybrzeże, przypadkowo zahaczyliśmy o małą osadę górniczą w Kautokeino. W środku całkowitej dziczy znajduje się prywatne muzeum srebra prowadzone przez duńskie małżeństwo jubilerów. Gdy weszliśmy do środka poczuliśmy dawno nie widzianą cywilizację, a nawet egzotykę, bo część wyrobów pochodziła z Persji. Mocnym punktem muzeum była przewodniczka z Polski. Nasi są jednak wszędzie, nawet za kołem podbiegunowym.

Może nie wszyscy wiedzą, ale Nordkapp znajduje się na wyspie. Aby więc stanąć pod słynnym globusem trzeba pokonań tunel albo popłynąć promem. Wybrałem tą pierwszą opcję, choć zabolało to nasze kieszenie. Norwegowie mają płatne zarówno tunele, jak i autostrady. Ceny są bardzo wywindowane do góry, ale pobieranie opłat kończy się z momentem, kiedy inwestycja się zwróci. Najwyraźniej koszty budowy tunelu na Nordkapp jeszcze się nie zwróciły. Podczas jazdy w samym tunelu przeżyliśmy chwilę grozy. Nie wiedzieć, czemu silnik naszego auta zaczął słabnąć. Tak się zdenerwowałem, że przez chwilę straciłem orientację, czy jedziemy z góry, czy pod górę. Na domiar złego jadący za nami tir ostro nas naciskał. Najadłem się strachu, ale po tym incydencie samochód jechał już normalnie.

Byliśmy na krańcu świata. Przed nami rozciągał się już tylko Ocean Arktyczny. Moment zadumy, zwiedzenie obiektu na klifie i… zaczynamy odwrót. Najgorszy moment każdej tego typu wyprawy. Może byłoby inaczej, gdybyśmy wrócili inną drogą. My wracaliśmy prawie tą samą trasą. Nie identyczną, co to to nie. Ale jednak… przez Finlandię. Pierwszy dzień powrotu był najtrudniejszy dla całej naszej trójki. Nasz zapał gdzieś zgasł. Co gorsza prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Może mieliśmy już siebie dość. A może po prostu przeżywaliśmy, że wszystko, co dobre szybko się kończy. Za szybko.

Wiktor Woźniczko
nadkom. Marcin Woźniczko
Ministerstwo Finansów

Moja podróż dookoła Polski

W 10 rocznicę UE wpadł mi do głowy pomysł objechania Polski na rowerze. W 2008 roku pomysł ten już zrealizowałem. Tym razem postanowiłem jednak pojechać odwrotnie do wskazówek zegara. Kolega, z którym miałem jechać wycofał się z powodów rodzinnych. Kilka dni przed ustaloną datą, słuchając pilnie prognozy pogody miałem coraz większe obawy, co do tej wyprawy. Z drugiej jednak strony nie mogłem się już doczekać, kiedy wyruszę, wyobrażając sobie samotną jazdę pośród gór jezior i lasów.

1 maja 2014 roku o 6.00 ruszyłem punktualnie w podróż po Polsce. Miałem ze sobą dwie małe sakwy, a w nich dosłownie parę ubrań na zmianę pogody, małą kuchenkę gazową, namiot, śpiwór, kask i mapę. Zamierzałem objechać cały kraj dookoła, jednak często padający deszcz oraz silny wiatr plany



Na rowerze dookoła Polski

te pokrzyżowały. Każdego dnia przez dwa tygodnie pokonywałem około 200 kilometrów dziennie. W sumie na tę okrągłą rocznicę wejścia naszego kraju do Unii Europejskiej pokonałem łącznie 2700 kilometrów. Moja trasa zaczęła się od Wisły na Ochodzitą, a potem przez Słowację do Zakopanego i dalej w Bieszczady. Lubię wysiłek, więc trasa górzysta nie była mi straszna, ani obca. W końcu mieszkam w górach. Bieszczady – piękne góry. Żałowałem, że nie miałem czasu ich podziwiać, zerkałem tylko okiem, co dookoła mnie się działo. Dalej na północ przez Zamość, Chełm, Włodawę, Mielnik i Hajnówkę. Po dziesięciu dniach dotarłem nad Bałtyk, do Łeby. Znużony deszczem zastanawiałem się, co dalej? Pogoda mnie zmęczyła bardziej niż wysiłek fizyczny. Tylko przez dwa dni towarzyszyło mi słońce, potem było już tylko gorzej. Cały czas jechałem w deszczu, w kilku kurtkach przeciwdeszczowych założonych na siebie, opatulony butami owiniętymi siatką foliową. Setki razy pytałem sam siebie, po co to wszystko. Czarne myśli kłębiły się w mojej głowie. I jeszcze ta tęsknota za dziewczynkami i ciepłym kocem, i gorącą herbatą. Ale za każdym razem odnajdywałem w sobie siłę i determinację, aby się nie poddać i jechać dalej zgodnie z planem. Lubię wysiłek, wtedy wiem, że żyję, lubię też podróże.

Po dotarciu nad morze stanąłem przed dylematem – jechać dalej na zachód w deszczu, czy też zmienić plan podróży. Zmiana planu oznaczała szybki zjazd na południe kraju, do domu. Policzyłem, że zajmie mi to 4-5 dni, nie więcej. Zmęczony deszczem i chłodem wybrałem rozsądny plan B. Perspektywa ujrzenia rodziny i zakosztowania wygód domowych sprawiła, że co sił w nogach w ciągu czterech dni wróciłem do Skoczowa.



Postój na moście

asp. Jerzy Sikora
Urząd Celny w Katowicach

Jerzy Sikora, na co dzień pełni służbę w Oddziale Celnym w Tychach. Od lat pasjonuje się jazdą na rowerze. Kilka lat temu wspólnie z żoną w ciągu tygodnia pokonał 800 kilometrów. W 2008 roku przejechał całą Polskę. W tym roku, w deszczu i pod wiatr, w ciągu 14 dni pokonał trasę liczącą 2700 kilometrów. W taki sportowy sposób uczcił 10-tą rocznicę akcesji Polski do UE.

Have a nice day

Pięć osób dorosłych, czwórka dzieci i Ford Club Wagon, w takim zestawie rozpoczynamy nasze tegoroczne wakacje.

Trasa Atlantycka (Atlantic Route), którą wybraliśmy wiedzie wzdłuż wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych – z Nowego Yorku na Florydę, z autorską modyfikacją obejmującą południowo-wschodnie stany Kanady. Ten rejon to najbardziej zurbanizowana i najgęściej zaludniona część USA.

Celem wyprawy – wg dzieci – są parki rozrywki w Orlando, aligatory na Florydzie i plaża w Miami.

Dorośli dzielą się, w swoich oczekiwaniach, na podgrupy tematyczne, motocyklowo-sportową (sklepy Harley-Davidsona, poranne treningi), kulinarną (winnice na Key West, owoce morza w Georgii, restauracje w Nowym Yorku i Waszyngtonie), fotograficzno-turystyczną (Amisze w Pensylwanii) i muzyczną (koncerty na Key West, muzyka country).

Program dostosowany jest nie tylko do tych zainteresowań, ale także do planu rozgrywek mundialowych (finał oglądamy w Miami).

Mimo tych ograniczeń, w ciągu trzech tygodni pokonujemy ok. 7000 km (4 350 mil), jesteśmy w 15 stanach Ameryki i 2 stanach Kanady (Quebec, Ontario).

Ta ambitna trasa wymagała od nas sporej dyscypliny i ustępstw, dając w zamian niezapomniane i zaskakujące chwile i olbrzymią satysfakcję.



Turyści w Waszyngtonie

Startujemy w Nowym Yorku, gdzie spędzamy kilka dni, zaskoczeni atmosferą i wielkością tego miasta. Poruszamy się przetartym szlakiem (Empire State Buliding, Statua Wolności,

SPORT I TURYSTYKA

Ellis Island, Times Square Chinatown, Central Park, Rockefeller Center, Most Brookliński, Broadway), na dłużej zatrzymując się w Ground Zero (nowo otwarte muzeum WTC Memorial).

Następnie Filadelfia w Pensylwanii – pierwsza stolica kraju, główny ośrodek walk o amerykańską niepodległość, miasto gdzie podpisano Deklarację Niepodległości z jej symbolami Independent Hall, (którego rysunek znajduje się na 100 dolarówce) i dzwonem Wolności.

Dalej Boston – (Massachusetts) jeden z głównych ośrodków gospodarczych kulturalnych kraju. Spędzamy tu dzień niepodległości – 4 lipca, uczestnicząc w pokazie sztucznych ogni i piknikach. Jedziemy też do pobliskiego Harvard University.

Docieramy do kanadyjskiego, frankofońskiego Quebec – miasta, które pamięta („je me suviens" – oficjalne hasło na wszystkich rejestracjach samochodowych przypomina o historii tego regionu).



Mural w Quebek

Zwiedzamy też Montreal, w tym olbrzymie Oratorium św. Józefa, najwyższy kościół Kanady, zbudowany w miejsce kaplicy św. Józefa przez brata Andre – uzdrowiciela i pierwszego świętego Kanadyjczyka.

Oglądamy wodospad Niagara i Toronto (z CN Tower), skąd lecimy do Miami.

Słynny kurort rozczarowuje nas pod wieloma względami, przeszkadza nam też ostre słońce, a ostatecznie zniechęca do tego miejsca, kradzież kodu z naszej karty kredytowej i związane z tym kłopoty.

Wszystko wynagradza nam przepiękny park narodowy Everglades (aligatory, lasy namorzynowe) i trasa z Miami przez wyspy Archipelagu Florida Keys (szczególnie piękny Seven Miles Bridge).

Key West to moje ulubione miejsce w tej podróży, miasto kubańskiej atmosfery, pełne muzyki i wspomnień (Hemingway,Tennessee Williams).

Oddalone tylko 90 mil od Hawany jest historyczną bazą Marynarki Wojennej USA, najdalej na południe wysuniętym miejscem Stanów Zjednoczonych.

To tu ma początek słynna droga nr 1, którą rozpoczynamy odwrót w kierunku Nowego Yorku.

Zatrzymujemy się w Orlando – krainie zabawy.



Na schodach Sądu Najwyższego w Waszyngtonie

Z kilkunastu parków rozrywki, dzieci wybierają, Universal Studio i Wet Wild, w których spędzamy dwie szalone doby. Strefę dziecięcą kończymy w Centrum Kosmicznym im. Johna F.Kennedy'ego na przylądku Canaveral – miejscu startów załogowych statków kosmicznych (prom Atlantis, jako eksponat w oprawie patriotycznej – super przeżycie!).

Kontynuujemy naszą podróż przez park narodowy Great Smoky Mountains (Karolina Północna, Tennessee), zaczepiamy o Sawannah w stanie Georgia (miasto Kazimierza Puławskiego) i wreszcie Waszyngton – dystrykt Kolumbia (na rejestracjach ze względu na brak przedstawicieli w Kongresie – „taxation without representation").

Tu, wielkie zaskoczenie niepozornym wyglądem Białego Domu. Idyllicznym klimatem National Mal (parku i miejsca gdzie znajdują się muzea, instytucje i pomniki) oraz wielkością cmentarza w Arlington (pierwsze miejsce pochówku I. Paderewskiego).

Ostatni dzień przed odlotem, z lotniska Kennedy'ego w Nowym Yorku, spędzamy w Pensylwanii, w miejscu gdzie żyją i pracują Amisze – konserwatywna wspólnota protestancka wywodząca się ze Szwajcarii od Jacoba Ammana. Obserwujemy z bliska z zadziwieniem grupy brodatych mężczyzn w kapeluszach i kobiety w tradycyjnych strojach, poruszających się wozami konnymi. Amisze trudnią się głównie stolarstwem i prowadzą duże sklepy z meblami i artykułami domowymi.

Ameryka urzekła na swoją różnorodnością i zwyczajnością. Spodobało nam się wszystko, oprócz jedzenia (niebezpieczna dla zdrowia dawka hamburgerów i żeber(ek) wołowych) i irytującej w nadmiarze życzliwości (wielokrotnie powtarzane „have a nice day").

Dzieci zainteresowała historia Stanów Zjednoczonych, stosunkowo prosta do wytłumaczenia i zapamiętania. Wszystkich poruszyły losy głównych amerykańskich bohaterów narodowych (Jefferson, Franklin, Waszyngton, Lincoln), związane z miejscami, w których byliśmy.

Podróż po Stanach ułatwia też szereg skojarzeń filmowych i muzycznych, a ciekawość zaspakaja bogata oferta książek na temat tego kraju (polecam na początek najnowszą pozycję korespondenta radiowej Trójki – Marka Wałkuskiego „Wałkowanie Ameryki").

kom. Małgorzata Woźna
Izba Celna w Poznaniu

Rumunia nieodkryta i niedoceniona

Leżący całkiem niedaleko nas kraj notabene należący do Wspólnoty Europejskiej – Rumunia a konkretnie Transylwania (Siedmiogród) stał się tegorocznym celem.

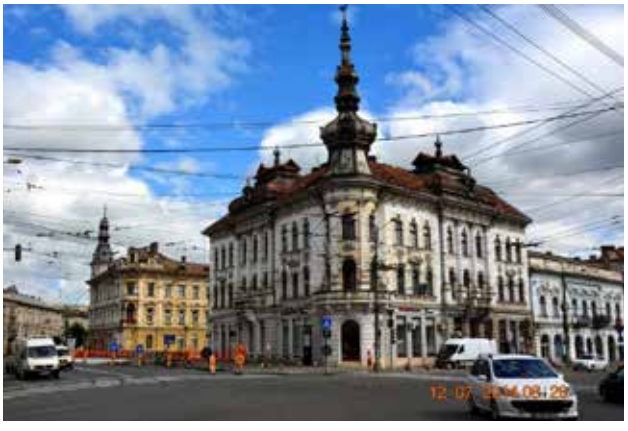
Krążące stereotypy – bieda, kiepskie drogi, niebezpieczne zaułki itp. opowieści oraz legenda Drakuli stały się inspiracją do wyjazdu w tamte regiony.

Po za tym za motto tej wyprawy służyły mi słowa ułożone na poczekaniu:

„Drakula, Drakula, Drakula
Do serca mnie przytula"

Nocna podróż odbyła się o dziwo bez przeszkód, żadnych dziurawych dróg, nieoświetlonych furmanek, pijanych tubylców, o których mówiono przed podróżą.

Poranek w Cluj-Napaka miejsce pierwszego postoju powitał nas piękną pogodą i tyglem kulturowym.



Cluj-Napoca pierwszy przystanek w Siedmiogrodzie

Cała Transylwania to jeden wielki wymieszany konglomerat wpływów kulturowych z różnych regionów Europy.

Trochę historii.

W początkowych latach n.e. ziemie obecnej Rumunii, zamieszkane m.in. przez **Daków** – starożytny lud pochodzenia trackiego, włączone zostały w obręb **Imperium rzymskiego** przez **cesarza Trajana** po tzw. **wojnach dackich** w II wieku naszej ery.

Jak się potocznie uważa nie można nie docenić tych wpływów w kuchni rumuńskiej. W każdym menu na czołowych miejscach królują – pizza, spaghetti, i inne włoskie potrawy, co zabarwione rumuńskich kolorytem daje czasami niespotykane efekty.

Pod konie III wieku, ze względu na napór plemion koczowniczych z północy, garnizony rzymskie i mieszkańcy Dacji zostali ewakuowani za Dunaj, (czyli do dzisiejszej **Bułgarii** i **Serbii**).

W X wieku **Transylwania** została przyłączona do węgierskiego królestwa **Stefana I Świętego**. Węgrzy sprowadzali tam od XIII w. Niemieckich osadników z rejonu **Nadrenii** w celu zabezpieczenia granicy oraz zapewnienia krajowi rozwoju gospodarczego. Na początku XVI, w wyniku rozbioru Węgier, **Siedmiogród** został niezależnym księstwem pod zwierzchnictwem **Turków**. To stąd wywodzi się polski **król Stefan Batory**. W latach **1668-1918** Transylwania wróciła do Węgier, jako jedna z części imperium **Habsburgów** (od **1867** podległym **Zalitawii**). W **XIV wieku** w **Karpatach** powstały księstwa wołoskie i mołdawskie, które w **XVI wieku** stały się zależne od Imperium Osmańskiego. W **1859 Aleksander Jan Cuza** został wybrany jednocześnie księciem wołoskim i mołdawskim, co doprowadziło do unii personalnej obu prowincji. W **1864** przeprowadził on niekorzystną dla warstw posiadających reformę agrarną, co było przyczyną buntu i wygnania księcia **22 lutego 1867**. Nowym władcą został ks. **Karol Hohenzollern-Sigmaringen**.

Potem było już z górki.

Rumunia powstała na skutek **unii personalnej**, a następnie zjednoczenia **Hospodarstwa Wołoskiego** i **Mołdawskiego** po wojnie rosyjsko-tureckiej **1877-1878** i w **1881** została ogłoszona królestwem).

Dalsze losy Transylwanii nierozerwalnie wiążą się z historią Rumunii.

Wszystko to tworzy barwny i wyrazisty obszar tego regionu. Kolejne miasteczka, osady mijane i zwiedzane po drodze są jak wisienki na torcie – czasem większe – Braszov czasem mniejsze Midas czy Sighisoara czasem zupełnie maleńkie – wszystkie na swój sposób urokliwe i zaprzeczające powszechnym stereotypom.



Braszov – widok prawie z lotu ptaka

No i góry.

Piękne majestatyczne w niewielkiej części tylko zagospodarowane turystycznie, w przeważającej dzikie i niedostępne robią kolosalne wrażenie.

Bucegi – pasmo górskie w centralnej **Rumunii**, na południu **Wyżyny Transylwańskiej**, na południe od **Braszowa**. Są częścią **Karpat Południowych**.

Na wschodzie góry Bucegi opadają stromo w stronę popularnej turystycznie doliny rzeki **Prahova** (miasta **Buşteni** i **Sinaia**). Wyżej znajduje się płaskowyż Bucegi z łąkami rzadko

spotykanymi na tych wysokościach, gdzie wiatr i deszcz wyrzeźbiły w skałach przedziwne kształty, np. Sfinksa lub **Babele**. Granica lasu jest obniżona do 1400–1500 metrów **n.p.m.**

Najwyższym szczytem grupy jest **Omu** mierzący 2505 m (według innych źródeł 2507 m lub 2514 m), na którym mieści się najwyżej położone w **Karpatach schronisko turystyczne** – Cabana Omu.

Prawdopodobnie to góry Bucegi są pradawnym świętym miejscem **Daków**. Tu miała znajdować się święta góra *Kogainon*, gdzie mieszkać miał mityczny **Zalmoksis**.

Znaczna część gór Bucegi jest **parkiem narodowym**, obejmującym powierzchnię 18 794 ha – płaskowyż w południowej części oraz dolinę **Jałomicy**, wschodnie i zachodnie urwiska oraz rejon Omula. Na terenie parku występuje kilka zagrożonych roślin, przedstawiciele drapieżników karpackich (wilki, niedźwiedzie, żbiki i rysie) oraz kozice.

Bucegi są popularne wśród turystów. Dostęp do szczytów ułatwiają dwie kolejki gondolowe – z Sinai i Buşteni. Na turystów czekają liczne schroniska oraz hotele górskie (ponad 25 miejsc), a także kilka schronów. Miejscem często odwiedzanym jest Crucea Caraiman – potężny krzyż, upamiętniający poległych w czasie I wojny światowej. W dolinie Jałomicy turystów przyciąga pustelnia (klasztor) *Peştera* oraz jaskinia *Ialomiţei*. W północnej części Bucegi opadają ku miejscowości **Bran**, gdzie znajduje się zamek, reklamowany, jako siedziba Drakuli, o czym w dalszej części.

Góry Fogaraskie – najwyższe pasmo **Karpat Południowych** oraz całej **Rumunii**. Najbardziej znane i zarazem najwyższe szczyty Gór Fogaraskich to **Moldoveanu** (2544 m **n.p.m.**), **Negoiu** (2535 m n.p.m.) i **Vişţea Mare** (2527 m n.p.m.). W okolicach drugiego z wymienionych oraz w centralnej części pasma góry przyjmują skalisty charakter, a na idącym głównym grzbietem szlaku turystycznym pojawiają się trudności techniczne oraz **ekspozycja** (niebezpieczeństwa i trudności porównywalne z **Orlą Percią** w **Tatrach**). Nieco trudny jest fragment szlaku „Trzy kroki od śmierci" biegnący główną granią przez grań Custura Arpaşului w stronę jeziora Capra (rum. Lacul Capra, 2230 m n.p.m.). Także nieco trudna jest jedna z dróg na Negoiu – Strunga Dracului (pol. Czarci **Żleb**). Najtrudniejszy odcinek to **grań Custura Sărăţii** między **Serbotą** (2331 m n.p.m.) a przełęczą Şaua Cleopatrei (2355 m n.p.m.). Na grani tej w **kominku** pod Serbotą znajduje się kilkanaście metrów stalowych linek poręczowych, na pozostałej jej części nie ma już żadnych sztucznych ułatwień.

Ze względu na surowe warunki klimatyczne Góry Fogaraskie stanowią poważne wyzwanie w sezonie zimowym.

W górach znajduje się kilkanaście schronisk, jednak większość z nich położona jest dosyć nisko, na wysokości ok. 1500 m n.p.m., a więc ok. 1000 m poniżej głównej grani. Wyjątkami są schronisko (**rum.** *cabana*) „Podragu" (2136 m n.p.m.) oraz hotele i schroniska przy jeziorze **Bâlea** (2034 m n.p.m.), położone przy poprowadzonej w latach 70. przez góry **Szosie Transfogaraskiej**. Na szlaku idącym główną granią Gór Fogaraskich, co kilka godzin znajdują się niewielkie schrony dla turystów (*refugi*), które jednak w sezonie mogą być przepełnione (miejsca na dwóch pryczach z sklejki starczy dla maksymalnie 12 osób). Najbardziej popularnym sposobem zwiedzania gór jest wielodniowa wycieczka z własnym sprzętem biwakowym.

Sam fakt, że w Rumunii żyje około 6 tysięcy niedźwiedzi, a psy pasterskie w przeciwieństwie do tych polskich są szkolone na obronę stada bez względu na to, kto się zbliża. Nie ma znaczenia – wilk, niedźwiedź czy człowiek zawsze jest atak.

Trzeba sporo determinacji i siły (trzeba mieć zarówno domek jak i jego wyposażenie ze sobą), aby eksplorować góry Rumunii.

Drogi Rumuńskie – między bajki można włożyć kiepską, jakość. Generalnie są dobrze utrzymane. Oczywiście są i takie lokalne odcinki, gdzie stan dróg jest kiepski, ale bez problemu w naszym kraju znajdziemy takie same standardy.

Noclegi – do wyboru do koloru. W zależności od zasobności portfela hotel 4-gwiazdkowy; 3-gwiazdkowy; pensjonat lub kwatera prywatna.

Wyżywienie – tu może być problem, zwłaszcza w tych lokalach gdzie menu tylko po rumuńsku. Nawet kiepska znajomość angielskiego, bądź niemieckiego naprawdę pomaga.

No, bo weź na ten przykład Szanowny Czytelniku taką pozycję w menu „cibora" plus cos tam cos tam.

Niewielu bez zaglądania w talerz sąsiada domyśli się, że to zupa – a zwłaszcza „ciobra de burta" – flaczki. W ramach eksperymentu polecam.



Ciekawe co jest w środku?

Były dwa powody, dla których chciałem odwiedzić Rumunię – złamać tabu i obcować z Drakulą.

To ostatnie jak wszystko uległo komercjalizacji – zamek Bran legendarna siedziba Drakuli ma tyle wspólnego z Drakulą, co ja z archeologią – wiem, że jest.

Sprytni Rumuni wykorzystali fakt, że na trasie przejazdu stoi w stanie bardzo przyzwoitym zamek i tempie błyskawicznym zaadoptowali go na siedzibę Drakuli. Sam Drakula nigdy tu nie był, ba nawet nie zbliżył się do tej miejscowości. Prawdziwy zamek Drakuli znajduje w odległości grubo ponad 100 km i jest w stanie totalnej ruiny.

Drugi powód – słynna droga Caucescu tzw. Szosa Transfogarska wybudowana olbrzymim nakładem sił i środków, miała pokazać potęgę komunistycznej Rumunii.

Kręte serpentyny wijące się po odkrytych zboczach Gór Fogarskich muszą zrobić wrażenie. Już sam fakt, że droga jest

otwarta od 15 czerwca do 15 października świadczy jak niebezpieczne musi być podróżowanie po tejże drodze.

Co bardziej wrażliwi na ekspozycje siadają po wewnętrznej, bo widok przepastnych otchłani wzdłuż krawędzi może wzbudzić niepokój.

Docieramy na Przełęcz 2034 m. Jest 18 lipca a na północnych stokach płaty śniegu.

Jest cudnie.

st.asp.Sławomir Sękowski
Izba Celna w Kielcach

Uwaga, uwaga! Czy widziano niemiecki radiowóz w Bieszczadach?

Niejednemu takie stwierdzenie od razu zapewne skojarzy się z UFO. A jednak i takie fakty są zupełnie możliwe. Działo się tak za sprawą Rajdu Bieszczadzkiego, który jest corocznie organizowany przez przemyską izbę celną.

Dzięki wspaniałemu komandorowi, którym od lat jest Ryszard Ryfiak oraz przychylności Dyrektora IC Rzepin i współpracy niemieckich funkcjonariuszy z Centrum, od roku 2009 również drużyna z Polsko-Niemieckiego Centrum Współpracy Służb Granicznych, Policyjnych i Celnych w Świecku bierze aktywny udział w tym wspaniałym przedsięwzięciu.

Wracając jednak do sedna sprawy, a w szczególności do niemieckiego radiowozu poruszającego się po bieszczadzkich serpentynach, mogę w 100% powiedzieć , że to nie UFO. To właśnie na **XI. Bieszczadzki Rajd Pieszy Polskiej Administracji Celnej „Wetlina 2013”** ekipa funkcjonariuszy z Centrum Współpracy w Świecku przyjechała takim oryginalnym pojazdem.



„Wetlina 2013”

Już podczas wjazdu na autostradę A4 w okolicach byłego przejścia granicznego w Olszynie pojawiły się pierwsze sygnały, że Niemiecka Policja Federalna (BPol), następca dawnego Grenzschutzu, prowadzi pościg transgraniczny na terenie Polski. Sygnały takie dotarły do nas telefonicznie z centrum, które zostało poinformowane przez zaniepokojonych obywateli... A to tylko mieszana, polsko-niemiecka drużyna jechała w Bieszczady na rajd ...

Również w dalekim Tarnowie czy Rzeszowie nasza podróż wzbudzała duże zainteresowanie, nie mówiąc już o tym jak przyjechaliśmy do Wetliny....

Wetlina, której nazwa pochodzi od „wetłyny”(odmiany wierzby), to miejscowość położona na wysokości 626-658 m n.p.m. wzdłuż doliny Wetlinki, u podnóża szczytu Smereka (1222 m n.p.m.) i Połoniny Wetlińskiej w masywie, której dominuje charakterystyczny garb Hnatowego Berda (1187 m n.p.m.), a okoliczne góry znajdują w obrębie trzeciego do wielkości w Polsce – Bieszczadzkiego Parku Narodowego, należącego do Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery UNESCO „Karpaty Wschodnie”.

A co do rajdu, można tylko powiedzieć, że *„to były piękne dni ...”* .

Pierwszego dnia wyruszyliśmy z Wetliny przez Stare Sioło i żółtym szlakiem na Przełęcz im. Mieczysława Orłowicza (ok. 1095 m n.p.m.), następnie, szlakiem czerwonym do schroniska PTTK „Chatki Puchatka” (1228 m n.p.m.) i powrót początkowo szlakiem żółtym, a następnie czarnym do Górnej Wetlinki, dalej pieszo drogą do bazy w Wetlinie.

W drugim dniu trasa wiodła z Wetliny szlakiem zielonym na pasmo górskie – Dział (ok. 930-1213 m n.p.m.) w kierunku szczytu – Wielka Rawka (ok. 1304 m n.p.m.) i z powrotem przez Małą Rawkę (1272 m n.p.m.) na Przełęcz Wyżniańską (ok. 860 m n.p.m.).

Choć nie zajęliśmy znaczącego miejsca w klasyfikacji ogólnej, to jednak zawarliśmy nowe znajomości i przyjaźnie. Można śmiało powiedzieć, że chyba każdy, kto był na tym rajdzie, długo będzie pamiętał srebrno-niebieskie „UFO” w Bieszczadach.

st.asp. Bogumił Maćkowiak
Izba Celna w Rzepinie

Nordic walking – to pasja, którą zarażam innych

Pierwszy raz spotkałem się z nordic walking w 2008 r. studiując na Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej. Nie myślałem wtedy, że umiejętność „chodzenia z kijkami" kiedykolwiek mi się do czegoś przyda, a tym bardziej, że może mnie aż tak zainteresować. Grałem wówczas w piłkę nożną, w koszykówkę. Uważałem, że bieganie bez piłki nie ma sensu. Nordic walking zacząłem się zajmować dwa lata temu (od 2012 r.), w ramach rehabilitacji po kontuzji kolana. Szybko zauważyłem poprawę kondycji, postępy w rehabilitacji, lepsze samopoczucie i – co najważniejsze – spadek masy ciała, której przybyło w poprzednim roku.

Początki były dość zabawne. „To zajęcie dla starych ludzi, co ty robisz?" – Drwili ze mnie znajomi.



W ubiegłym roku dowiedziałem się, że w całej Polsce organizowane są zawody w nordic walking i postanowiłem spróbować swoich sił. Już po pierwszym starcie wróciłem do domu z pucharem. To był impuls i mobilizacja do dalszego działania. Od tamtej pory, jeśli tylko grafik służb pozwala, startuję regularnie w całej Polsce. W tym roku wystartowałem też na Mistrzostwach Słowacji. Trasa obejmowała około 14 km po wysokich Tatrach, nad górskim jeziorem w Srbskim Plesie. Malownicze szlaki sprawiały, że ciężko było się skupić na rywalizacji. Była to, jak dotąd, najciekawsza trasa, na której dane mi było startować. To tam miałem też ciekawą przygodę. Po około 300 metrach od startu zawodnik idący za mną niefortunnie nadepnął na mój kijek, co spowodowało urwanie mojej rękawiczki (a warto tu wyjaśnić, że podczas marszu cała siła ramion przekazywana jest na kijki właśnie poprzez rękawiczkę przymocowaną do kijka). Najpierw pomyślałem o przerwaniu rywalizacji i zejściu z trasy, ale później przyszła refleksja – przecież nie po to jechałem 600 km, żeby się poddać na samym początku. Mężczyzna, który mnie tak „urządził" zachował się bardzo uprzejmie i zaproponował, że odstąpi mi swoje kijki, ja jednak odmówiłem. Zmobilizowałem się i z wieloma otarciami oraz odciskami na dłoniach **wygrałem swoją kategorię.**

9 sierpnia 2014 r. wystartowałem z kolei w polsko-ukraińskim marszu z okazji Dni Dobrosąsiedztwa.

Na tego typu imprezach startuje coraz więcej osób. Od kilkudziesięciu na zawodach regionalnych, po setki na ogólnopolskich. Oprócz czasu pokonania trasy (zwykle od 5 do 20 km) liczy się także technika marszu, którą również oceniają sędziowie. I okazuje się, że wbrew pozorom, nordic walking to zajęcie nie tylko dla ludzi w starszym wieku. Zawodnicy mają od kilku do ponad 70 lat.

Moje osiągnięcia? Tylko w tym roku udało mi się zdobyć drugie miejsce w mistrzostwach Polski w maratonie nordic walking, Puchar Świata na dystansie 5 km w kategorii do 30 lat oraz pierwsze miejsce w Otwartych Mistrzostwach Słowacji w kategorii do 40 lat.

Treningi i starty w zawodach, oprócz podniesienia adrenaliny, w zdrowy sposób pozwalają mi także na częste obcowanie z przyrodą oraz zwiedzanie ciekawych miejsc. Do treningów wybieram zazwyczaj trasy miękkie, gruntowe i ciekawe wizualnie. W wyborze szlaków pomagają mi też mapy PTTK, choć nie ukrywam, że do moich ulubionych tras należą rodzinne strony Białej Podlaskiej i okolic.

Ogólnie staram się ruszać cztery razy w tygodniu – dwa razy z kijkami i dwa razy w ramach treningu uzupełniającego. Chodzę i biegam na dystansach od 5 do 15 km. Raz na dwa tygodnie trenuję na dystansie około 30 km. Paradoksalnie – im bardziej się zmęczę fizycznie na treningu czy zawodach, tym lepiej później wypoczywam.

Od czasu do czasu prowadzę jakieś zajęcia (głównie dla grup 50+) lub trenuję z osobami, które dopiero zaczynają chodzić z kijkami. Zdarza mi się również doradzać nieznajomym, spotkanym na ulicy ludziom. Kończy się to zawsze wymianą uśmiechów i krótkim wspólnym spacerem. Czasem zaglądam na strony: maratonypolskie.pl, chodzezkijkami.pl czy pfnw.eu, które służą mi do wyszukiwania kolejnych zawodów, w których mógłbym wziąć udział. Ale do aktywności w sieci, udzielania się na forach tematycznych, specjalnie mnie nie ciągnie. Nie uważam się też za specjalistę w tej dziedzinie – po prostu jestem tylko dość szybki.

apl. Piotr Wetoszka
Oddział Celny w Hrebennem

Lubsko – *Zalew 2014*

W połowie czerwca w Lubsku na Ziemi Lubuskiej odbyły się II Międzynarodowe Zawody Sportowe *Zalew 2014*. Udział w nich wzięła również lubuska Służba Celna. Obok celników z Niemiec (Cottbus i Guben) swoich reprezentantów wystawił Urząd Celny w Zielonej Górze oraz Mobilna Grupa Kontrolna w Olszynie.

W piątek 13 czerwca br. lubska hala sportowa stała się areną zmagań sześciu zespołów siatkarskich, reprezentujących pol-

skie i niemieckie służby celne, walczących o puchar Dyrektora Izby Celnej w Rzepinie. Gra momentami była bardzo zacięta. Zwycięzcami rozgrywek zostali koledzy z Cottbus, II miejsce zajęła drużyna reprezentująca Oddział Celny w Olszynie, a III Urząd Celny w Zielonej Górze.

Dalsza część zawodów odbywała się nad Zalewem Lubskim, urokliwym zbiornikiem wodnym, nad którym znajdują się pięknie położone obiekty rekreacyjno-wypoczynkowe. Po ogłoszeniu wyników i dekoracji zwycięzców turnieju siatkarskiego uczestnicy rozgrywek zregenerowali swe siły smacznym posiłkiem.

Następnie rozegrały się zawody kajakowe. Zawodnikom pomagał doping koleżanek i kolegów obserwujących zawody z przystani. Tym razem swoją wyższość zamanifestowali koledzy z Grupy Mobilnej w Olszynie. O trzy sekundy wyprzedzili zespół informatyków z Zielonej Góry; III miejsce zajęła ekipa z Cottbus.

Uroczystość wręczania nagród, pucharów, medali i dyplomów uświetniła obecność naczelnika WZP z IC Rzepin oraz kierowników grup mobilnych z Polski i Niemiec.

Wieczór integracyjny przebiegł w miłej i przyjaznej atmosferze, a wspólnym śpiewom i tańcom nie było końca. Na koniec okazało się, że wszyscy mają jeszcze bardzo dużo sił i chęci do



Zawody kajakowe na zalewie

dalszej zabawy. Nie przeszkadzała nam kapryśna aura serwująca raz słońce, raz deszcz. Do domów wróciliśmy z mocnym postanowieniem, że we wrześniu musimy zrewanżować się kolegom zza Odry i wygrać kolejny turniej siatkarski, który odbędzie się tym razem po stronie niemieckiej w Guben.

st. rew. Małgorzata Chorchos-Gąszczak
Urząd Celny w Zielonej Górze

Złoto dla funkcjonariuszy podkarpackiej Służby Celnej

W dniach od 17 do19 października br. w hali sportowej w Karczewie odbyły się XI Mistrzostwa Polski Funkcjonariuszy Celnych w Koszykówce. Funkcjonariusze Izby Celnej w Przemyślu obronili tytuł Mistrza Polski.

W tym roku do rywalizacji przystąpiło 10 zespołów, które podzielone były na trzy grupy. Przemyscy zawodnicy trafili na drużyny Wrocławia oraz Katowic, z którymi odnieśli zdecydowane zwycięstwa i tym samym awansowali do półfinału.

Tam przyszło im się zmierzyć z kolegami z Izby Celnej z Białegostoku. Zaangażowanie w grę oraz wola walki funkcjonariuszy z Podlasia nie wystarczyła na pokonanie naszej drużyny. W finale zespół z Przemyśla zmierzył się z zawodnikami Izby Celnej z Białej Podlaskiej. Mecz finałowy dostarczył dużo emocji, a wygrana ważyła się do ostatnich sekund meczu. Dużo zwrotów akcji, zmieniające się prowadzenie oraz walka mogły podobać się zgromadzonej publiczności. Jeszcze 40 sekund przed końcem meczu nasi zawodnicy przegrywali 7 punktami, lecz doświadczenie i zimna krew nie pozwoliły na oddanie zwycięstwa przeciwnikom. Na 5 sekund przed końcowym gwizdkiem zawodnicy z Białej Podlaskiej prowadzili 2 punktami, lecz ręka nie zadrżała najbardziej doświadczonemu w szeregach przemyskich zawodników Markowi Pękalskiemu, który rzutem za 3 punkty na 4 sekundy przed końcem meczu przypieczętował ciężko wywalczone zwycięstwo. Na słowa uznania zasłużył cały zespół złożony z funkcjonariuszy przemyskiej izby celnej, który włożył dużo zaangażowania udowadniając tym samym, że ciężki trening przynosi dobre efekty.



Reprezentacja Izby Celnej w Przemyślu już po raz 8. sięgnęła po najwyższe trofeum

Najlepszym zawodnikiem turnieju został wybrany Marek Pękalski.

W historii występów reprezentacja Izby Celnej z Przemyśla na 11 edycji Mistrzostw Polski sięgała po najwyższe trofeum 8 razy.

Warto podkreślić, że w tym roku przemyscy celnicy w nagrodę będą reprezentować nasz Kraj na Mistrzostwach Europy Administracji Celnej, które odbędą się na Węgrzech.

Reprezentacja Izby Celnej z Przemyśla: **Marek Pękalski** – grający trener, **Łukasz Krasoń**, **Tomasz Trybalski**, **Paweł Słociński**, **Marcin Bruchal**, **Piotr Górski**, **Paweł Kłymiński**, **Marek Hamryszczak**, **Andrzej Prymon**.

st. apl. Tomasz Trybalski
Izba Celna w Przemyślu

Kilka słów o podróży

Wyjeżdżam tak często, jak tylko mogę, chociaż na chwilę. Zostają wspomnienia, zdjęcia, ulotne momenty zapisane w pamięci. Nie ważne czy – trekking, rower, kajak – ważne żeby coś przeżyć, zobaczyć, to jest mój motor napędowy i odskocznia od codzienności. O czymś pomarzyć **i małymi krokami to realizować**

Wyprawa mojego życia to póki co Skandynawia (rok 2009). Zima nad mapą i latem w drogę. Przejechane 4500 km od Karlskrony przez Oslo, Lillehamer, Griranger, Trondheim, Molde, Alesund, z Bodo na Lofoty, Narwik, krótka wizyta u św. Mikołaja w Rovaniemi i z powrotem przez Szwecję na prom w Karlskronie.

2014 trekking wokół Mount Blanc. Do tego roku myślałam, że góry nie mogą mnie bardziej zachwycić, ale cudownie się zaskoczyłam, że jednak mogą. Niesamowita przestrzeń, i ta cisza na szlaku, widoki… Można patrzeć godzinami. Urokliwe Chamonix - francuski kurort, który nie przytłacza jak „nasze" Zakopane. Wyciągi, kolejki i niezapomniany Mont Blanc. Kolejka na Aiguille du Midi – wysokość 3842 – z tarasu można podziwiać alpinistów zdobywających Mont Blanc, rozbite namioty w środku „letniej" zimy. Na szczycie było –3 stopnie Celsjusza. A potem wycieczka do wnętrza lodowca Mer de Glace (Lodowe Morze). Było pięknie…



Aiguille du Midi wysokość 3842



Mount Blanc o poranku z hotelowego okienka



Norwegia Geiranger



Wenecja

Rok 2010 to znowu Skandynawia, ale już na „spokojnie" – chwile kontemplacji i zachwytu nad otaczającym nas pięknem. W międzyczasie „nasze góry" od Bieszczad przez Tatry do Stołowych. Kolejna moja miłość.

Rok 2013 Toskania z perspektywy siodełka rowerowego – można poczuć klimat toskańskich miasteczek, smakowitej kuchni, pysznej kawy… Wokół winnice, cyprysy i ty – wszystko na wyciągnięcie ręki.

Jaki plan na przyszły rok???? Marzenie – Gruzja i góry Kaukazu, w**łoskie Dolomity… i Alpy tym razem na rowerze**. Moja lista nie ma końca. Na wszystko przyjdzie czas…

mł. rachm. Katarzyna Staruchowicz
Izba Celna w Białej Podlaskiej

Jacht dostał nowe życie

Bera miała zostać częścią wystroju kawiarni. **Dziś** pływa dumnie po morzu i jeziorach.

Od czego się zaczęło? Niby proste a jednak problem Jak to było: książka – album ze starymi oldtimerami, niechęć do plastików, wczytywanie się w sailforum (internetowa strona żeglarska) i allegro… Chyba wszystko naraz. Suma przypadków.

Z kolegą Jurkiem pływamy ze sobą w różnych konstelacjach towarzyskich od wielu lat. Opływaliśmy cały katalog jachtów od omegi po nash'a i venus. Były rejsy i regaty nawet czasami z sukcesami. Najwięcej Sportiną 595 (II miejsce Mistrzostw Polski Jachtów Kabinowych w swojej klasie i III w ogólnej) oraz na koniec Kurierem 820 (rosyjska konstrukcja). Pływaliśmy najczęściej z córkami i ich koleżankami. Dorastały na jachcie.

Od pewnego czasu szukaliśmy czegoś nowego. Zaczęły dusić nas plastikowe jachty, których na Mazurach jest coraz więcej. Kurier rósł w coraz to nowe elementy drewniane, żeby nabrać innego wymiaru – duszy. Dla nas to chyba znaczyło, że musi być dużo drewna, jak najwięcej a czasami to nawet aż za dużo, tak trochę bez sensu. Najpierw bukszpryt, później drewniane listwy odbojowe. Kurier robił się coraz bardziej drewniany. Jak bukszpryt to pojawił się forsztag i nowe żagle – kliwer i latacz – każdy dobrany z innych jachtów. Ciągle to było jednak za mało. Zacząłem szukać na portalach internetowych możliwości zakupu „czegoś" ciekawego. No i znalazłem, motorówka ze stali 10 metrów długości. Skorupa, brak zabudowy. Zaczęliśmy dyskutować z oferentem… ale… motorówka. Tak jakoś dziwnie. Coś nam w tym nie pasowało. Nie przepadam za motorówkami. Nie lubię zapachu spalin.

I nagle w kwietniu 2008 roku wertując www.sailforum.pl zwróciła moją uwagę informacja o sprzedaży na allegro wraku jachtu morskiego z lat 1920–1940.

Cena zakupu oraz ewentualnego remontu przekraczała moje możliwości finansowe, więc „wrobiłem" w zainwestowanie mojego kolegę. Stałem się tylko „moralnym udziałowcem". Co mi zresztą bardzo odpowiadało i odpowiada do dzisiaj.

No i się zaczęło….



Gdańsk

A w tym samym czasie ….

Mój szwagier widząc, że mamy szalony zapał do ciągłego ulepszania Kuriera, pracując w firmie handlującej książkami anglojęzycznymi w Warszawie trafił na książkę (album) ze starymi jachtami. Dał mi prezencie, nie pamiętam czy na urodziny czy też na imieniny, nie ważne i tak szybką ją straciłem. Stała się wspólną własnością.

Okazała się kuźnią wiedzy, gdy na Berze rozpoczął się remont.

Po ściągnięciu jachtu w maju 2008 roku zaczęliśmy od jego dokładnego remanentu oraz próby „przypisania mu" jego historii.

Historia (bez powodzenia)

Jacht do Polski trafił z Niemiec. Właściciel sprzedał go na aukcji internetowej Polakowi z okolic Włocławka. Gdyby nie został przez nas wyremontowany miał stać się elementem wystroju kawiarni.

Nie udało nam się skontaktować z właścicielem z Niemiec.

Sprawdziliśmy całe jego wnętrze i nigdzie nie znaleźliśmy numeru produkcyjnego.

Jedynie na anodach przyczepionych do płetwy sterowej znaleźliśmy nazwę BERA 2. Po tej nazwie nigdzie już nie dotarliśmy. Brak danych.

Nie ma nazwy BERA 2 na liście wyprodukowanych jachtów w internetowej bazie stoczni Abeking & Rassmusen ani też w innych nam znanych z tamtych lat.

Później okazało się, że Bera to nazwa firmy produkującej anody. Nazwa jachtu Bera już jednak pozostała. Zawsze to lepiej niż Hindenburg – tak go nazywaliśmy roboczo podczas remontu.

Prawdopodobnie wybudowano go w latach 1930–1937. Tak twierdził (przy sprzedaży) podobno jego właściciel z Niemiec.

Żagle są wyprodukowane przez niemiecką firmę F Schulz z Kiel. Ich numer rejestracyjny G-39. Kontakt osobisty i listowny nie pozwolił ustalić nam jednak nazwy jachtu.

W dniu 13 sierpnia 2010 roku nastąpiła chwila, na którą czekaliśmy od ponad dwóch lat. Bera została wyslipowana w Mikołajkach. Przez prawie trzy dni trwało jej przygotowanie do pierwszego rejsu. Stres, ciężka praca fizyczna, upał i na koniec nagroda – dwie godziny pływania. Później chwila sławy. Jedna z atrakcji Mazur w tym czasie. Zdjęcia, ciągłe wycieczki turystów a nawet wywiady i reportaże TVN24, TVP Polonia. Mieliśmy jednak świadomość, że nasz pobyt na Mazurach jest jednak tylko chwilowy. Jej zanurzenie oraz brak możliwości położenia masztów bardzo ograniczał zakres poruszania się.

Na Mazurach Bera pływała jeszcze do 2011 roku. Był to czas testowania, nauki, prób z nowym osprzętem i sprawdzenia się w regatach. Wystarowaliśmy w Mistrzostwach Mazurskiego Klubu Żeglarskiego w Mikołajkach zajmując II miejsce.



Mikołajki



Testujemy jacht

W 2012 roku jacht został przetransportowany do Jachtklubu Stoczni Gdańskiej w Górkach Zachodnich. Rozpoczął się następny etap naszej przygody. Najpierw przez pierwszy sezon rejsy krótkie po Zatoce Gdańskiej – Puck, Gdynia, Gdańsk, Hel, Sopot - następnie Gotlandia (Visby) a wtym roku zaliczone poznawanie naszego wybrzeża – Władysławowo, Łeba oraz pod koniec sezonu wakacyjnego czeka nas jeszcze Borholm oraz Christianso.

Efektem pływania i testowania jachtu było pozbycie się w 2013 roku bezanmasztu i powrót do niego w 2014 roku ale ze zmnieszoną długością do 6 metrów oraz zakup, oprócz sprzętu wymaganego przepisami, profesjonalnego systemu nawigacji i odbiornia/nadajnika AIS, który zwiększa bezpieczeństwo żeglowania. System ais pozowala dodatkowo na śledzenie naszych rejsów za pośrednictwem strony internetowej www.marinetraffic.com.pl.

nadkom. Zbigniew Brumer
Izba Celna w Olsztynie

Przypadkowy rejs

Nie ma tego złego... czyli jak przypadek może rządzić żeglarskim losem

Plany rejsu opracowaliśmy w lutym. Załoga nr 1 miała wyruszyć z Gdańska do Goeteborga. Ja byłem w załodze nr 2, która miała przepłynąć Szwecję przepięknym kanałem Gota (Gota Canal) i przez Sztokholm wrócić do Gdańska. Zbliżał się majowy termin rejsu. Przygotowania zapięte na ostatni guzik. Na tydzień przed wyjazdem do Goeteborga załapałem się na infekcję, która na trzy tygodnie wyeliminowała mnie z otoczenia – słowem sezon żeglarski raczej nieudany – koledzy popłynęli beze mnie, ale z moją częścią peklowanej dziczyzny.

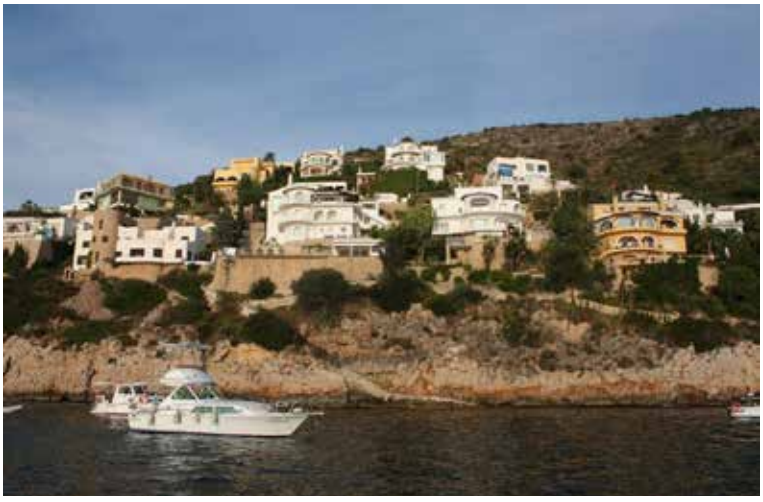
To, że przypadek często rządzi naszym losem (już się przekonałem w złym tego słowa znaczeniu), natomiast to, że „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło" było dopiero przede mną.

Miesiąc później telefon, głos mojego kolegi w słuchawce sugerował coś niebagatelnego. Mirek lecimy za tydzień do Alicante i prowadzimy do Polski jacht płynący od Grecji. To był dopiero gorący tydzień, szybki zakup biletów lotniczych na szczęście z Gdańska i to dość tanio i już byliśmy na lotnisku. Marina Di Denia oddalona od lotniska o 40 km, tu zaczynała się nasza przygoda. Jeszcze tego samego wieczora nasza trzyosobowa załoga wypłynęła ma Morze Śródziemne na 12 metrowym jachcie amerykańskiej – nie najnowszej konstrukcji, z OHIO o wdzięcznej nazwie MAJDRIM, ale co ważne pod Polską banderą, kierując się na zachód do oceanu atlantyckiego.

Kapitan nie miał wielkiego ciśnienia na tempo rejsu, toteż cumowaliśmy w jego trakcie w różnych marinach i zatokach południowo- zachodniej części Hiszpańskiego morza śródziemnego, zwiedzając przy okazji, co się tylko da. Mariny okazały się bardzo nowoczesne, bo wybudowane stosunkowo niedawno już po wejściu do UE, co odróżniało je zdecydowanie od starych marin angielskich i francuskich. Pierwszy tydzień rejsu przy słabych wiatrach i wysokiej temperaturze powietrza upływał nam w atmosferze Hiszpańskiej Maniany, od czasu do czasu urozmaiceniem stawały się pływające wokół jachtu stadka delfinów liczące do 20 sztuk. Mijając Almerię, Malagę przy porannej bryzie nad ranem przy silnym wietrze dotarliśmy do Gibraltaru.

Na zwiedzanie tego przepięknego miejsca przeznaczyliśmy cały dzień. Angielski przewodnik obwożący nas po tej strate-

gicznej w minionych czasach górze, pokazuje z jej wysokości bardzo rzadki w świecie pas startowy miejscowego lotniska przedzielony zamykaną na czas startu i lądowania zwykłą ulicą łączącą część angielska i hiszpańską, opowiada zwiedzającym o miejscu, w którym w wyniku zamachu (prowokacji) zginął polski naczelny wódz generał Sikorski. Po uzupełnieniu zapasów obraliśmy śmiało kurs na Lizbonę licząc, że 300 mil przepłyniemy bez zawijania do portów. Wszystko zapowiadało się dobrze, piękna pogoda i dobry wiatr przy przepływaniu cieśniny gibraltarskiej, w nocy widoczne światła położonej na wybrzeżu Afryki – hiszpańskiej Ceuty. Ale jak to bywa w żeglarstwie szczęście w ogromnej mierze zależy od pogody.



Cumowanie na kotwicy

Zatoka Cadyksu sprawiła nam sporo kłopotów, najpierw spore fale z przeciwnym wiatrem zmusiły nas do halsowania po kilkanaście mil, ucieczki nocne przed wyglądającymi jak modliszki hiszpańskimi trałowcami też wymagały sporego skupienia. Jak już się uspokoiło wpadliśmy w dobową mgłę o konsystencji mleka o zerowej wręcz widoczności i gdyby niebędący na wyposażeniu jachtu radar odgłosy silników dużych Shipów były by jeszcze bardziej złowrogie. Wreszcie flauta, uruchamiamy silnik, aby nadrobić zaległości. Niestety uszczelka obiegu chłodzenia w starym wysłużonym „Westerbeke" zaczyna przeciekać. Wulkanizujemy i płyniemy dalej i tak, co kilka godzin. Na wysokości Huelvy w odległości ok. 70 mil od brzegu podpływa do nas hybrydowa łódź (trochę większa aniżeli nasze łodzie SC), na której siedzi 6 uzbrojonych panów z Guardii di Civil. Ci po krótkiej rozmowie proponują nam skierowanie się do mariny w okolicach Huelvy.



Początek rejsu. Marina Di Denia

Ta miejscowość to Palos, nad mariną góruje duży pomnik Martina Alonso Pinzona. Coś nam to mówi, bierzemy w bosmanacie ulotkę i okazuje się, ze jesteśmy 8 km od muzeo de las carabelas, gdzie na wodzie stoją repliki 1;1 Trzech słynnych caraveli Columba Santa Marii, Niny i Pinty, której właśnie kapitanem była postać z pomnika). Oczywiście tego nie możemy odpuścić tym bardziej, że obok stoi znany chyba wszystkim z historii klasztorek La Rabida, gdzie Columb ukrywał się wraz z synem po ucieczce z Portugalii. Czas nagli, mamy spore opóźnienie, zamawiamy przez internet z USA sfatygowaną uszczelkę, którą mamy odebrać w Cascais pod Lizboną. Z Hulevy a właściwie z Palos kierujemy się na ogromny 60 metrowy clif koło Sagres usytuowany na przylądku Św. Wincentego – słynne miejsce z tego, że w średniowieczu uważano je za koniec Europejskiego świata. To najbardziej wysunięta na południowy-zachód część Europy, gdzie Henryk Żeglarz założył uznawaną za pierwszą akademię morską świata – szkołę kartografii i astronomii.

Wiatr północny nam sprzyja, więc idziemy jednym halsem po 7 węzłów i tak przez dobę. Zatoka Cadyksu jednak ma dla nas jeszcze jedną niespodziankę. Na wysokości Portimao podpływa do nas Portugalczyk na sportowym pontonie i prosi o pomoc, gdyż kolega wypadł do oceanu. Powiadamiamy krótkofalówką ekipy ratunkowe i podejmujemy akcję ratowniczą. 3 godziny halsujemy w miejscu wypadku, niestety pomimo dobrej widoczności fale są zbyt wysokie. Służby ratownicze nas zwalniają i możemy płynąć dalej. Jeszcze po 7 godzinach słyszymy rozmowy hiszpańsko-portugalskich ratowników mówiących, że polski jacht Majdrim wszczął akcję ratowniczą, lecz zaginionego nie odnaleziono.

To opóźnienie powoduje, że monumentalny clif Sagres opływamy nocą. Latarnię umiejscowioną na tym clifie o zasięgu 100 mil widzimy jeszcze przez dobę. Wreszcie Cascais, odbiór uszczelki i zwiedzanie Lizbony z jej przepiękną architekturą i słynnymi lizbońskimi tramwajami. Dalej to już walka z czasem, następny port Vigo, ale tu już nie ma czasu na zwiedzanie. Sztalujemy, co się da i dalej przez zatokę biskajską do Plymouth. Ten etap był tak wyczerpujący, że mamy wszystkiego dość, na szczęście w Lizbonie dosiadło się dwóch zaprzyjaźnionych żeglarzy z Katowic, więc były dłuższe chwile na odpoczynek. Tu zakończyła się żeglarska przygoda. Już inna załoga pożeglowała dalej do Szczecina. Urlop wykorzystany do cna, sezon żeglarski bardzo udany i niech ktoś mi powie, że ludzkim życiem często nie rządzi przypadek.

podinsp.Mirosław Rogulski
Urząd Celny w Elblągu

SPORT I TURYSTYKA

Pierwsze mile pod żaglami

W dniach od 22.03.2014 do 29.03.2014 Wyspy Kanaryjskie eksplorowały załogi sześciu jachtów pod banderą hiszpańską, ale pod dowództwem skiperów dolnośląskich. Współorganizatorem rejsu i skiperem jednego z jachtów był Jacek Kałużyński jachtowy sternik morski – pracownik Wydziału Informatyki Izby Celnej we Wrocławiu, miłośnik żeglarstwa. Celem imprezy było propagowanie żeglarstwa morskiego, jako formy turystyki aktywnej, czyli dotarcie do jak najszerszego grona odbiorców a szczególnie do tych, którzy z żeglarstwem nie mieli wcześniej nic wspólnego. Dlatego ponad połowa uczestników właśnie z nami przebyła pierwsze mile pod żaglami i to na dużej atlantyckiej fali. Dzięki pomocy Jacht Klubu „Sharks" z Wrocławia wszelkie formalności zostały dopięte na ostatni guzik. Wyczarterowane zostały jachty klasy Bavaria 49 i Cyclades 43.

Rejs rozpoczął się w porcie Radazul na Teneryfie, większość żeglarzy dotarła tam samolotem linii Norwegian z Berlina. Po zaokrętowaniu w sobotę uczestnicy rejsu zapoznali się z jachtami, zrobili zakupy oraz przeszli instruktaż nt. bezpieczeństwa na morzu. Prognozy pogody zapowiadały bardzo silne wiatry, dlatego ten element był ćwiczony bardzo starannie. Po wyjściu z portu Radazul nasza flotylla skierowała się na południe wyspy w kierunku Las Galletas, wielu żeglarzy po raz pierwszy zetknęło się z dużą i długą atlantycką falą. Wiał silny wiatr o sile 70B a baksztagowa fala charakterystycznie bujała jachtem osiągającym nawet 12 węzłów, a załogi zostały wystawione na ciężką próbę. Podczas żeglugi wzdłuż Teneryfy wszyscy podziwiali wulkan Teide dumnie panujący nad wyspą. Następnego dnia jachty popłynęły w kierunku Los Gigantes, na wszystkich duże wrażenie wywarł widok gigantycznego klifu. W tym dniu postój zaplanowany został w San Sebastian na wyspie Gomera. W połowie drogi prędkość wiatru wzrosła do 44 węzłów tj. 90B, załogi dzielnie opierały się chorobie morskiej. Podczas postoju w porcie na oceanie rozszalał się potężny sztorm do 100B, który uwięził nas na wyspie na 2 dni, wolny czas załogi wykorzystały wynajmując samochody i zwiedzając uroki wyspy. Podczas wycieczki udało nam się spotkać Silbadora – użytkownika języka gwizdanego Silbo. Jest to gwizdana forma lokalnego dialektu, używana przez mieszkańców wyspy do porozumiewania się na duże odległości w trudno dostępnych dolinach górskich. Po lekkiej poprawie warunków na morzu podjęliśmy decyzję o opuszczeniu tej pięknej wyspy. Podczas wyjścia z portu wszystkim towarzyszyły emocje związane z widokiem rozbujanego oceanu. Postawiony został na jedynie malutki żagielek o pow. ok 2 m2, co dla kilkunastotonowego jachtu spełniało jedynie funkcje stabilizującą kurs. Po kilkugodzinnym sztormowaniu spotkała nas nagroda, gdy udało nam się wpłynąć na akwen osłonięty przez Teneryfę spotkaliśmy Grindwale – gatunek walenia z rodziny delfinowatych, zwierzęta okazały się bardzo towarzyskie i z ciekawością nam się przyglądały. Następnego dnia podjęliśmy decyzję o rejsie w kierunku Gran Canarii do Puerto de Mogan, prognozy zapowiadały wiatr o sile 70B. Mniej więcej w połowie drogi wiatr osiągnął prędkość 56 węzłów (ok. 104 km/h) tj. 100B. Był to efekt wpłynięcia w osławione strefy akceleracji wiatrowej. Pomiędzy wyspami wiatr osiąga nagłe przyśpieszenie, zjawisko spowodowane



Marina Las Galletas



Klify los gigantes



Szkwały przy wejściu do portu

dużym wyniesieniem wysp powyżej powierzchni morza, w tych warunkach płynięcie pod wiatr jest niemożliwe. Masy wody zostały zmieszane z wiatrem. Nie było wyraźnej granicy pomiędzy powierzchnią oceanu a powietrzem. Podjęta została decyzja o powrocie na Teneryfę, dłuższe zwlekanie mogło skutkować zniesieniem jachtów na otwarty ocean i długim sztormowaniem. Po wykonaniu zwrotu i kilkugodzinnym rejsie z wiatrem udało nam się wpłynąć na osłonięte przez Teneryfę wody. Ponownie zacumowaliśmy w Las Galletas. Gdy wszystkie załogi szczęśliwie wpłynęły do portu rozpoczęły się morskie opowieści do późnych godzin wieczornych. Następnego dnia jachty kolejno wypływały z portu udając się na północ Teneryfy, do portu wyjścia – Radazul. Bez względu na wiatr musieliśmy tego dnia dopłynąć do Radazul, ponieważ warunki umowy czarterowej przewidują bardzo wysokie kary za opóźnienia w terminowym oddaniu jachtu. Płynęliśmy wzdłuż linii brzegowej Teneryfy, kryjąc się przed silnym sztormowym wiatrem. Po kilku godzinach względnie spokojnej żeglugi podczas wpływania do portu spotkała nas „niespodzianka", przed samym portem, spadający z okolicznych gór wiatr rozpędzał się do prędkości 50 węzłów i to wprost w kierunku wejścia do portu. Manewrowanie w tych warunkach kilkunastotonowym jachtem w ciasnych marinach można porównać do cyrkowych ewolucji. Dzięki opanowaniu i doświadczeniu skiperów i załóg udało się zacumować bez najmniejszych strat.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Dla wielu była to najbardziej emocjonująca przygoda żeglarska w życiu. Uczestnicy rejsu zachwyceni byli wyjątkową formą podróżowania między wyspami. Mimo, że od powrotu upłynęło kilka miesięcy załogi często spotykają się ze sobą i z wypiekami na twarzy wymieniają swoje doświadczenia.

Navigare necesse est…

mł. rachm. Marek Sztynyk
Izba Celna we Wrocławiu



Widok z Gomery na Teneryfę

Rejs do Stavanger

W dniach 5-19.07.2014 r. uczestniczyłem w I etapie czteroetapowego rejsu wyprawowego (Świnoujście – Stavanger – Glasgow – Stavanger – Gdynia) jachtem s/y ENDAXI. Nasz etap rozpoczynał się w Świnoujściu, a celem były Fiordy Norwegii i miejscowość Stavanger. ENDAXI jest to jacht klasy oceanicznej, typu Idylla 1150, o długości 11,5 m, szerokości 3,7 m i ciężarze 5200 kg (przy ciężarze balastu 2500 kg).



Helsingor – Zamek Hamleta

Załoga jachtu składała się z 5 osób i kapitana dowodzącego jednostką. Doświadczenie żeglarskie nie było wymagane, chociaż uczestnicy rejsu nie byli pasażerami i brali czynny udział we wszystkich pracach związanych z pobytem na jachcie, czyli: sterowali, obsługiwali żagle, pełnili wachty oraz gotowali posiłki i sprzątali.

Po zaokrętowaniu, zaprowiantowaniu, przeszkoleniu i przydzieleniu zadań załodze wypłynęliśmy do stolicy Danii – Kopenhagi. Kapitan podzielił załogę na dwie „wachty" pełniące zamiennie służbę przy sterze i obsłudze żagli oraz w kambuzie, czyli tzw. wachtę kuchenną. Zmiana wacht sterowych następowała, co 4 godziny, co przy dwóch wachtach było dość uciążliwe i nie pozwalało na długi odpoczynek. Dodatkową „atrakcją" było to, że im dalej na północ, tym noce stawały się coraz krótsze i przez ostatnich kilka dni rejsu nie robiło się w ogóle ciemno, jedynie na dwie – trzy godziny zapadała tzw. szarówka. Płynąc do Kopenhagi mieliśmy wiatr z tyłu (od rufy), o sile 3-4 stopni w skali Beauforta, co pozwoliło na w miarę spokojne zaaklimatyzowanie się załogi do warunków morskich (na chorobę morską cierpiała tylko jedna osoba – na szczęście to nie byłem ja).

Po dopłynięciu do Kopenhagi mieliśmy trochę czasu na zwiedzanie tego pięknego miasta. Następnym portem, do którego wpłynęliśmy był duński Helsingor, znajdujący się w cieśninie Sund, oddzielającej Danię od Szwecji. Można tam zobaczyć i zwiedzić jeden z najsłynniejszych zamków na świecie – zamek, który Szekspir wybrał na miejsce akcji Hamleta. Ostatnim bałtyckim portem, do którego wpłynęliśmy, był duński Skagen. Jest to malownicze miasto znajdujące się na najbardziej na północ wysuniętym cyplu Półwyspu Jutlandzkiego. To właśnie przylądek Skagen jest obszarem, gdzie spotykają się wody cieśnin Skagerrak i Kattegat, oddzielające Morze Północne od Morza Bałtyckiego. Nacierające na siebie dwie masy wody o różnej gęstości nie mieszają się ze sobą, tworząc zauważalną granicę, uwidocznioną różnym kolorem wody.

Następnym etapem naszego rejsu był już „przeskok" przez Morze Północne do wybrzeży Norwegii. Na tym etapie można było posmakować żeglarstwa w pełnym tego słowa znaczeniu, gdyż mieliśmy już nieco silniejszy wiatr – do 6 stopni w skali Beauforta. Morze Północne już przy takim wietrze potrafi się dość mocno „rozbujać", co powodowało, że mogliśmy doświadczyć nawet trzymetrowych fal. Po dwudniowej żegludze zobaczyliśmy brzegi Norwegii z porozrzucaną wzdłuż nich dużą ilością niewielkich, skalistych wysepek. Taka charakterystyka wybrzeża powodowała zwiększenie czujności przy nawigowaniu (określaniu bieżącej pozycji na mapie) jachtem. Tą rolę doskonale sprawował kapitan, który zawsze, bez względu na pogodę, porę dnia lub nocy, był gotów konsultować z oficerami wachtowymi wszystkie pojawiające się w trakcie pływania problemy.



Wypływamy z Polski – pierwsza wachta

Pierwszym miastem, do którego wpłynęliśmy, był Kristiansand, ósme pod względem wielkości miasto oraz drugi, co do wielkości port Norwegii. Nazwa miasta pochodzi od jego założyciela, króla Danii i Norwegii, Chrystiana IV. Część nazwy „sand" (piasek) dodana została, ponieważ w odróżnieniu od większości norweskich wybrzeży, które są skaliste, Kristiansand ma trochę piaszczystej plaży. Następnie przez porty Egersund



Preikestolen



Półka skalna Preikestolen

i Tananger dopłynęliśmy do miejscowości Tau, z której wyruszyliśmy, tym razem pieszo, na górską wędrówkę. Jej celem była półka skalna Preikestolen, z której roztacza się przepiękny widok na cały Lysefiord. Następnego dnia wpłynęliśmy do Lysefiord (fiord o długości ok. 20 km), by zacumować w przepięknie położonym na końcu fiordu porcie Lysebotn i stąd wyruszyć na kolejną wędrówkę górską na Kjerag – słynny kamień zaklinowany między dwoma skałami na wysokości ok. 1000 m n.p.m. Niestety, deszcz i bardzo śliskie skały uniemożliwiły nam podziwianie tej atrakcji Norwegii. Jednak w drodze powrotnej pokazało się trochę słońca, co pozwoliło nam na podziwianie z poziomu schroniska (ok. 800 m n.p.m.) portu Lysebotn. Niestety, wszystko, co dobre szybko się kończy i następnego dnia wypłynęliśmy do miejscowości Stavanger, gdzie zakończył się nasz etap wyprawy s/y ENDAXY.

W Stavanger mieliśmy przyjemność spotkać się jeszcze z załogami polskich jachtów: s/y POGORIA, s/y ISKRA, s/y POLSKA NIKE i s/y POLITECHNIKA. Następnego dnia rano, podobnie jak jeszcze dwie inne osoby z załogi, wróciłem samolotem do Polski. Pozostałe trzy osoby (w tym kapitan) uczestniczyły w drugim etapie rejsu, ze Stavanger do szkockiego Glasgow.

Nam pozostało tylko im zazdrościć, chociaż zazdrość to podobno brzydka cecha.

Z żeglarskim pozdrowieniem AHOJ

st. asp. Grzegorz Laufer
Urząd Celny II w Łodzi

Fotograf na rowerze



Masyw Silvretta z Dreikoepfl 2970 m.n.p.m. 2014 r.

Nie ma nic lepszego, jak realizacja kilku pasji jednocześnie. Czy to możliwe? Wystarczy wziąć aparat fotograficzny, wsiąść na rower i pojechać w góry. Tak robi nasz kolega Robert Kubal, który wykorzystuje każdą okazję, aby zdobywać kolejne szczyty na rowerze górskim, przy okazji chłonąc piękno przyrody i fotografując niezwykłe krajobrazy. Jego pasją jest przemierzanie o własnych siłach górskich szlaków i fakt, że mieszka u podnóża Gór Opawskich pozwala mu ją realizować każdego dnia. Takie spędzanie czasu wolnego jest wspaniałą odskocznią od codzienności i rekompensuje czas spędzony za biurkiem.

Robert na każdy rok zakłada sobie nowe cele do pokonania, nowe ciekawe szlaki do przemierzenia, niejednokrot-

nie sięgające powyżej 2000 m.n.p.m., które następnie próbuje realizować. I tak wcześniej pokonał znany podjazd Großglockner Hochalpenstraße w Austrii, gdzie wspiął się na Edelweißspitze o wysokości 2571 m n.p.m. Również w Austrii wspinał się na Hundstein 2117 m n.p.m. skąd podziwiał panoramę Wysokich Taurów z najwyższym ich szczytem Großglockner (3797 m.n.p.m.).

W 2013 r. wjechał na szwajcarską przełęcz Kleine Scheidegg (2061 m.n.p.m.), skąd rozpościerał się wspaniały widok na czterotysięczniki Eiger, Mönch i Jungfrau.

Tegoroczna wyprawa natomiast zakończyła się pobiciem własnego rekordu wysokości pokonanej na rowerze – 2649 m n.p.m. Miało to miejsce na pograniczu austriacko szwajcarskim w masywie Silvretta.

Kolejnym marzeniem Roberta jest przebycie w ciągu tygodnia blisko 400 km trasy z Garmisch-Partenkirchen (Niemcy) nad Jezioro Garda (Włochy).

Znając Roberta, wiemy, że tego dokona. Życzymy mu, żeby zawsze znajdował czas i entuzjazm, by móc realizować swoje pasje, bo to nadaje sens życiu i sprawia, że czujemy szczęśliwi.

mł.asp. Justyna Bioły-Kobylańska
Izba Celna w Opolu



Szczyt Edelweisspitze 2571 m.n.p.m. – Wysokie Taury, Austria 2008 r.



Przełęcz Kleine Scheidegg 2061 m.n.p.m. w oddali Jungfrau 4158 m n.p.m. Szwajcaria 2013 r.

Tour de Śniardwy

Relacja z wyprawy wokół największego polskiego jeziora

W tym roku opcji na spędzenie urlopu było kilka. Jedno z moją żoną Martyną wiedzieliśmy na pewno, że chcemy urlop spędzić aktywnie. Ostatecznie odrzuciliśmy wędrówki po górach, zrezygnowaliśmy też z pomysłu spędzenia wakacji pod żaglami. Wspólnie uznaliśmy, że rowery będą najlepszym rozwiązaniem. Decyzja zapadła – pozostało nam zaplanować trasę i spakować sakwy.

Z planowania nie wyszło jednak zbyt wiele. Ustaliliśmy, że najpierw objedziemy największe polskie jezioro Śniardwy a później będziemy podążać w stronę Suwalszczyzny. No to w drogę...

Wrzuciliśmy rowery na dach samochodu i z Braniewa pojechaliśmy do Rucianego Nidy, malowniczej miejscowości otoczonej jeziorami i lasami Puszczy Piskiej, gdzie znajduje się dom rodzinny mojej żony. Ostatni przegląd rowerów, dopakowywanie i zaczęliśmy pedałować.

Z Rucianego Nidy ruszyliśmy w stronę Wierzby. Po drodze mijamy Wejsuny gdzie rozciąga się piękny widok na Jezioro Warnołty, a nad wsią góruje ewangelicki kościół z czerwonej cegły. Dalej przejeżdżamy lasem przez rezerwat na terenie Polskiej Akademii Nauk, gdzie można spotkać tarpana – wolno



Rynek w Mikołajkach

żyjącego konika polskiego. Docieramy do przystani w Wierzbie gdzie cieszymy się widokiem żaglówek na Jeziorze Bełdany i fragmencie jeziora Mikołajskiego, potem promem przeprawiamy się na drugą stronę. Po paru kilometrach jazdy doliną strumienia szlak pnie się w górę i naszym oczom ukazuje się panorama Mikołajek. Odwiedzamy centrum miasta, w którym znajduje się mały rynek, z fontanną „Króla Sielaw", znanego z legendy rybaków Śniardw. Po krótkiej przerwie na posiłek i uzupełnienie płynów ruszamy dalej. Jedziemy przez rezerwat ptactwa wodnego Łuknajno zaliczonego do światowego dziedzictwa przez ONZ. Jest to obok delty Dunaju największej ostoja łabędzia niemego w Europie. Docieramy do przesmyku łączącego Jezioro Łuknajno ze Śniardwami. Można tu zboczyć na wąską ścieżkę i dojechać do wieży widokowej, ale niestety wieża była nieczynna z powodu złego stanu technicznego. Na 35-tym kilometrze zatrzymujemy się na plaży w Dziubielach. Z widokowej skarpy nad Śniardwami, zwanej Górami Dziubielskimi, możemy podziwiać panoramę jeziora. Mijamy Suchy Róg, dawną wioskę rybacką. Na trasie napotykamy na drewniany most na przesmyku łączącym Jezioro Tuchlin ze Śniardwami. Po drodze mijamy stary cmentarz, świadectwo bogatej historii tych terenów. Niezaprawieni do dłuższych wypraw czujemy już w nogach (i nie tylko …) dzisiejszą trasę. Po paru kilometrach docieramy do Okartowa i szukamy miejsca na odpoczynek. Znajdujemy camping wraz z przystanią jachtową, ale panujący tam zgiełk i hałas zmusza nas do dalszego pedałowania. Gdy wyjeżdżamy z Okartowa zaczyna się ściemniać. Na liczniku przeskakuje 57 km, ostatni zakręt i naszym oczom ukazuje się duży szyld „Pole biwakowe pod sosnami". Odnajdujemy tu to, czego szukaliśmy, czyli ciszę, spokój i piękną piaszczystą plażę. Szybko biorę się za rozbijanie namiotu, a Martyna przygotowuje posiłek na kuchence turystycznej. Najedzeni i po orzeźwiającej kąpieli w jeziorze rozpalamy małe ognisko. Gdy ogień zgasł dogaszamy resztki pogorzeliska i udajemy się na spoczynek. Zmęczeni zasłuchując się w odgłosy lasu szybko zasypiamy.

W nocy budzi nas odgłos kropel uderzających o tropik naszego namiotu. Na szczęście był to niewielki deszcz i jedyny podczas naszych noclegów pod gołym niebem. Rano już nie pada, ale jest silny wiatr. Siłę oceniamy na 5 skali Beauforta. Zaraz po porannej toalecie rozwieszamy namiot, aby wysechł na wietrze. Po pożywnym śniadaniu i zielonej herbacie jesteśmy pełni chęci do dalszej jazdy. Wietrzną pogodę wykorzystują również kite'owcy, którzy pojawiają się na plaży „Pod Sosnami". Popijając gorącą kawę podziwiamy jak latawce surferów tańczą na pochmurnym niebie a ich deski tną fale. Pakujemy sakwy i ruszamy w dalszą drogę.

Pierwszą miejscowością, jaką odwiedzamy drugiego dnia są Nowe Guty. Jest to wieś letniskowa słynąca z najpiękniejszych plaż nad Śniardwami, znanych z długich, kilkusetmetrowych piaszczystych płycizn. Zatrzymujemy się na chwilę i podziwiamy przepiękny, rozległy widok na zachodnią stronę jeziora. Mijamy Camping z dużą wypożyczalnią sprzętu wodnego. Panują tu wspaniałe warunki do uprawiania sportów wodnych, ale my jedziemy dalej. Kolejna wieś to Kwik nad jeziorem Białoławki. Mijamy plażę



Wysoki brzeg

z pomostem, na którym opalają się turyści. Dalej ciężkie pedałowanie piaszczysto-żwirową drogą. Przejeżdżamy przez most nad kanałem Śniardwy-Roś. W miejscowości Zdory wjeżdżamy ponownie na asfalt. Suniemy lekko równym asfaltem przez wieś nad samym brzegiem jeziora. Zatrzymujemy się na kawę w restauracji „Remiza" zlokalizowanej w byłej remizie strażackiej. W oczekiwaniu na kawę przeglądamy ciekawe menu. Mimo zjedzonego wcześniej obfitego śniadania zamawiamy naleśniki z kurkami i serem pleśniowym. Są pyszne. Pokrzepieni kawą i naleśnikami wsiadamy na rowery. Docieramy do ruchliwej szosy Orzysz-Pisz. Po ok. 3 km pokonujemy most na kanale Jeglińskim i docieramy do wsi Karwik. W Karwiku znajduje się śluza na kanale Jeglińskim, budowana w latach 1845-1949, która stanowi połączenie wodne Śniardw z systemem rzeki Pisy. Następne 8 km jedziemy przez lasy Mazurskiego Parku Krajobrazowego. Szlak wyprowadza na szeroką ubitą drogę z Pisza do Niedźwiedziego Rogu. Według drogowskazu w Niedźwiedzim Rogu będziemy za 6 km. Wjeżdżamy na pole biwakowe „Trzy Sosny" znów jesteśmy przy samym brzegu jeziora. Z wysokiego brzegu w Niedźwiedzim Rogu rozciąga się przepiękny widok na Wyspę Pajęczą i wyspę Czarci Ostrów. Obydwie wyspy w czasach pogańskich były miejscem kultowym Prusów. Ostatni przystanek przed metą w Rucianem-Nidzie. Uzupełniamy energię gorzką czekoladą. Jedziemy dalej, droga oddala się od zbiornika a my po raz ostatni podczas tej wyprawy zerkamy na „Mazurskie Morze". Po 6 km pedałowania po nierównej nawierzchni docieramy ponownie do Wejsun. Mimo przyspieszonych oddechów i kropli potu na czołach finiszujemy w Rucianym Nidzie. Tu, po 8 km kończymy pierwszy etap naszej wyprawy.

W sumie trasa wokół jeziora Śniardwy wyniosła 110 km. Była zróżnicowana i pełna pięknych widoków. To była nasza pierwsza wyprawa. Wcześniej robiliśmy przejażdżki do 30 km , więc do doświadczonych rowerzystów nie należeliśmy. Jak widać wystarczy chcieć, mieć rowery i można jechać. Serdecznie zachęcamy do zwiedzania Mazur rowerem. Wrażenia niezapomniane a na szlakach rowerowych dużo luźniej niż na wodzie.

Następnego dnia popedałowaliśmy w stronę Ziemi Augustowskiej i Suwalszczyzny. Ale to już historia na kolejny numer Wiadomości Celnych.

apl. Marek Jurgielewicz
Izba Celna w Olsztynie

Buen camino – Dobrej drogi

„Tworzysz swą drogę, idąc nią" pisał hiszpański poeta Machado. Camino to droga pisana stopami milionów pielgrzymów, którzy od Pirenejów na wschodzie Hiszpanii do Galicji na dalekim zachodzie udają się do grobu Św. Jakuba Apostoła.

Ponad tysiąc lat powstawała dla zwykłych ludzi, którzy przemieszczali ją w akcie pokuty, z modlitwą na ustach i w sercu oraz dziękczyniąc za łaski, których doznawali w swoim życiu aż do XX wieku, kiedy to dwie wojny światowe, hiszpańska wojna domowa, dyktatura Franco a potem wszechobecne samoloty, szybkie samochody i pociągi – znak czasu ludzi nowoczesnych, zaganianych, chcących cel osiągnąć jak najszybciej i wygodnie spowodowały „że płynący przez tysiąclecia strumień pątników wysechł – wydawało się na zawsze. Nic bardziej mylnego. Z czasem każda nowość powszednieje. Choć podróże stawały się coraz szybsze i wygodniejsze, ludzie zaczęli sobie przypominać, że w podróży chodzi nie tylko o cel, że droga może znaczyć tyle samo, co przybywanie na miejsce".

Wraz z wstąpieniem Hiszpanii do UE (1986) i jej ponownym otwarciu sie na świat Droga zaczyna żyć na nowo. Świat mógł się o niej dowiedzieć z rozpowszechnianych historycznych zapisów – najstarszego przewodnika po drodze św. Jakuba to Codex Calixtinus (XII w.), z powieści chociażby takiej jak „Pielgrzym" brazylijskiego pisarza Paulo Coelho czy też wejść na szklak Jakubowy z Martinem Sheenem oglądając „Drogę życia".

Moja droga zaczęła się w 2006 roku od kilku fotografii i okładki książki w nieznanym mi niemieckim języku pod tytułem „Ich bin dann mal weg. Meine Reise auf dem Jakobsweg" autorstwa Hape Kerkelinga – niemieckiego komika, w której „opisuje uroki każdego etapu wędrówki, doświadczenia samotności i ciszy, wycięczenia i wątpliwości, ale również gotowości niesienia pomocy" o czym przeczytam w 2010 roku w polskojęzycznym wydaniu.



Puenta La Reina

Książka moim zdaniem nudnawa ale nie wiedzieć czemu, również słabe czarno-białe fotografie z tej publikacji, towarzyszyły mi przez kolejne lata aż do dnia kiedy zapadła decyzja w 2013 roku – czas wyruszyć na drogę, którą będąc nieuleczalnie chorym trzeba przejść. Moja choroba to podróżowanie.

I jak słusznie zauważa Ryszard Kapuściński, co i ja doświadczam, że „podróż przecież nie zaczyna się w momencie, kiedy ruszamy w drogę i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety. W rzeczywistości zaczyna się dużo wcześniej i praktycznie nie kończy nigdy, bo taśma pamięci kręci się w nas dalej mimo że fizycznie dawno już nie ruszamy się z miejsca".

I tak to właśnie się stało, że 19 marca 2014r. wyruszyłam tzw. Drogą Francuską z Pampeluny (Iruny) do Santiago de Compostela (700 km) a potem jeszcze „krok dalej" do Fisterry – niewielkiego miasteczka w północno-zachodniej Hiszpanii, położonego na półwyspie o takiej samej nazwie. Dawniej miejsce to uważane było za najdalej na zachód wysunięty punkt kontynentalnej Europy (Cabo Fisterra), błędnie pomijając Przylądek Roca w Portugalii. Niegdyś to właśnie tutaj kończyła się Droga św. Jakuba Miejsce to określane bywało także często mianem Krańca Ziemi (finis terrae). To właśnie tutaj pielgrzymi zostawiają swoje buty lub odzież (ja swoich nie zostawiłam – bo miałam tylko jedną parę). Dziś na pamiątkę tamtych czasów na skale nad brzegiem Oceanu Spokojnego stoi symboliczna niewielka rzeźba przedstawiająca But Pielgrzyma.

Moja podróż Jakubowym szlakiem zakończyła się 13 kwietnia 2014r. i była czasem kiedy przez 22 dni smakowałam pięknej Hiszpanii (dosłownie i w przenośni), zapewne nie tej jaką podają nam w opakowaniu kiedy wykupimy wczasy w biurze podróży. Moja podróż to czas spędzony z zwykłymi ludźmi- dla których ta droga jest poszukiwaniem, podziękowaniem, prośbą. Tu zjeżdża się cały Świat – i nie jest przesadą powiedzieć o niej – istna Wieża Babel. Musicie też wiedzieć że nie trzeba być poliglotą żeby się tutaj porozumieć – tu mówi się językiem camino. Moje CAMINO to czas gdzie mogłam też pobyć z kulturą hiszpańską – Miguel de Cervantes i jego Don Kichot byli ze mną, Pedro Almodovar i jego aktorzy – Elena Anaya, Antonio Banderas, Rossy de Palma, Marisa Parede, Carmen Maura, Javier Camara i inni. Na całym szlaku wszechobecna była sztuka barokowa „bo to ten styl głęboko przylgnął do duszy ludu hiszpańskiego". A kuchnia? – no cóż było tego naprawdę dużo i smacznie – tortilla española, tapas, paella, flaczki czyli callo, chorizo i marisco wszechobecne w Galicji.



Cel osiągnięty

Zapamiętam z tej podróży jeszcze coś co wprawiało mnie w cudowny nastrój – hiszpańskie vale (czytaj – bale) czyli dobrze, ok. Hiszpanie nie rozstają się z tym słowem – więc wyobraźcie sobie jak mi tam było dobrze.

Gorąco polecam Jakubowe Szlaki – warto na nich po prostu być! Ja zapewne jeszcze wrócę na Drogę św. Jakuba – kolejną będzie „Droga Portugalska".

Buen Camino – Dobrej Drogi.

kom. Agnieszka Październiak
Izba Celna we Wrocławiu

FUNDUSZ GRANIC ZEWNĘTRZNYCH
System łączności mobilnej

W połowie tego roku ostatecznie wdrożony został bezprzewodowy system łączności dla Służby Celnej. Funkcjonariusze wydziałów zwalczania przestępczości mogą już łączyć się ze wszystkimi bazami danych jakimi dysponuje Służba Celna. W czasie rzeczywistym mają dostęp do informacji o osobach i pojazdach. Kontrola na drodze skrócona została do minimum. Zastosowanie najnowszych rozwiązań technicznych w połączeniu z dobrze przeszkolonym personelem jest gwarancją najlepiej prowadzonych działań w zakresie zadań ustawowych Służby Celnej.

Wdrożenie systemu kosztowało łącznie blisko 20 mln zł i zrealizowane zostało w dwóch etapach począwszy od 2011 r. Ostatni etap Departament Służby Celnej Ministerstwa Finansów przeprowadził pod nazwą „Rozwój zintegrowanego systemu łączności dla administracji celnej", jako projekt dofinansowywany przez Unię Europejską z Funduszu Granic Zewnętrznych. Od tej pory piętnaście izb celnych posiada flotę pojazdów wyposażonych w laptopy i GPS. Dane z jakich korzystają funkcjonariusze szyfrowane są z zastosowaniem najnowszych technologii.

Dla podniesienia wydajności działania wydziałów zwalczania przestępczości system łączności posiada możliwość zarządzania flotą pojazdów. Ułatwia to koordynację działań całej floty jak również zapewnia bezpieczeństwo funkcjonariuszom działającym w terenie.

Struktura systemu zaprojektowana została tak, aby nie doszło do przerw w dostępie do danych. Środowisko informatyczne każdej izby celnej może zostać wykorzystane jako źródło danych w momencie wystąpienia problemów z serwerami głównymi w Ministerstwie Finansów.

st. apl. Wiktor Roth
Ministerstwo Finansów


Norwegia Geiranger